

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 26 lutego 1950 r.

Nr 8 (222)

TREŚĆ NUMERU: Stanisław Podlewski — Ruch wydawniczy w r. 1950; Wojciech Kęrzyński — Katolik naszych czasów; Eugenia Kochanowska — Wiśniewska — W gdańskiej bibliotece; Zygmunt Kubiak — O powieści historycznej; Jan Dobraczyński — Legat papieski; Z teki recenzenta: Zygmunt Lichniak — Dramat fatalistyczny; Jan Papini — Kuszenie Judasza; Tydzień kulturalny; Adam Weber — Bitwa o poezję; Andrzejewski u kresu drogi?; Teatr: Brygada szlifierza Karhana; Co piszą inni...

REFLEKSJE NAD WAŻNĄ SPRAWĄ

Polityka naszego środowiska jest na odcinku stosunków między Kościołem a Państwem niezmienna i powszechnie znana: zrobić wszystko co tylko możliwe, by porozumienie doszło do skutku, by społeczeństwo katolickie uniknęło konsekwencji braku tego porozumienia. Środowisko walczyło przy pomocy swej prasy o właściwą atmosferę, o realne i spokojne podejście katolików duchownych i świeckich do problemu porozumienia. Środowisko szukało wszelkich możliwości przysłużenia się sprawie „modus vivendi”, pracując wytrwale we własnym zakresie nad wypracowaniem w tej dziedzinie właściwych rozwiązań teoretycznych i praktycznych. Mamy przekonanie, że wysiłki nasze ułatwiły części społeczeństwa katolickiego właściwe ustosunkowanie się do tego fundamentalnego problemu Polski współczesnej.

Czołowym założeniem ideologicznym naszej postawy wobec problemu porozumienia było i jest przekonanie, że w okresie wielkiego wysiłku organizacyjnego i gospodarczego naszego Państwa wspólne dobro narodu polskiego wymaga maksymalnie spokojnej i skupionej atmosfery wewnętrznej. Widzimy bowiem, że wewnętrzne zadrażnienia służą tylko brudnej i mętnej robocie obcych dywersyj i wywiadów, narażając społeczeństwo na niepowetowane szkody materialne i moralne. Istnieje jednak jeszcze wyższy motyw naszej postawy. Tylko po pacyfikacji stosunków, po usunięciu atmosfery wrogości politycznej w stosunku do socjalizmu, jaka dziś zbyt często otacza aktywność katolików, może dziś być skutecznie realizowana misja Kościoła — głoszenie Ewangelii wszystkim ludziom, bez względu na przekonania. Nie przestaniemy więc, jak to już niejednokrotnie podkreślaliśmy, pracować nad stworzeniem warunków dla „modus vivendi”, wierząc mocno, że ono w końcu nastąpi.

**

Trzeba to sobie jasno powiedzieć. Stanowisko zajęte w sprawie porozumienia przez część katolickiej opinii publicznej, jest absolutnie błędne i szkodliwe. Jest ona bowiem przekonana, że wszelkie próby szukania „modus vivendi” mogą być tylko wyrazem kapitulacji ideologicznej katolicyzmu przed siłami marksizmu.

Istnieją dwie, różne płaszczyzny problemu „modus vivendi”: światopoglądowa i polityczna. W światopoglądowej spotyka

się dziś na terenie polskim katolicyzm z materializmem marksistowskim (głoszonym współcześnie przez te siły, które socjalizm realizują). Rzecz oczywista, katolicy i marksiści inaczej pojmują rolę i zakres działania Kościoła w społeczeństwie. Różnica poglądów jest nie do zatarcia. Trzeba jednak we właściwy sposób ustosunkować się praktycznie do konsekwencji tego sporu. Nie może być mowy o tym, by Kościół uznał słuszność poglądów materialistycznych na religię, lecz chodzi tylko o to, by przystosował swe formy działania do nowych warunków stworzonych przez fakt istnienia w Polsce rządzącego obozu marksistowskiego.

Istnieje jednak również i płaszczyzna polityczna problemu stosunków Kościoła — Państwo. Postawa katolików polskich nie jest politycznie obojętna. Część społeczności katolickiej w chwili obecnej zajmuje nie tylko stanowisko opozycji pod względem światopoglądowym, co jest oczywiste i konieczne, lecz również stanowi podatny materiał dla zwyczajnej politycznej wrogości w stosunku do każdego rządu socjalistycznego. Na świecie toczy się dziś wielki konflikt między socjalizmem a kapitalizmem. Jest rzeczą absolutnie szkodliwą, by społeczność katolików przez fakt swej światopoglądowej odrębności, przejawiała tendencje do stania się agenturą świata kapitalistycznego przeciw socjalizmowi.

Trzeba sobie nareszcie uprzytomnić, że właśnie taka rola jest przeznaczona przez sztaby kapitalistyczne katolikom w krajach socjalistycznych i że atmosfera, panująca często w kołach katolickich tym planom sprzyja, zresztą przeważnie nieświadomie. Elementarne poczucie odpowiedzialności za Polskę i za katolicyzm w Polsce powinno zmusić wielu katolików do zrewidowania swych najzupełniej fałszywych i karygodnie naiwnych sądów politycznych.

Wiadomo, że w Polsce istnieją jeszcze elementy wrogości socjalistycznej. Jest rzeczą oczywistą, że wśród przeciwników społeczno-gospodarczych form ustrojowych socjalistycznych znajdują się i katolicy. Jest rzeczą natomiast niedopuszczalną i szkodliwą, by można było sądzić, iż w Polsce katolicyzm determinuje wrogość w stosunku do dziejących się przemian społecznych. Piszemy wrogość w stosunku do przemian społecznych, gdyż od dawna głosimy konieczność dokonania rozróżnienia światopoglądu marksistowskiego od socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego. Sami wyrażamy przeświadczenie, że nie wszystko, co marksiści realizują w imię socjalizmu, zgadza się z naszym, katolickim pojęciem tego słowa. Nie znajdujemy jednak w postawie poważnej części obozu katolickiego tendencji do stosowania rozróżnień. Znajdujemy i te-

gralną wrogość w stosunku do wszystkiego, co technicznie socjalizmem, brak chęci dokonywania choćby tylko obiektywnej krytyki rzeczywistości, w której żyją. Znajdujemy tendencje do psychicznego poddawania się dyrektywom kapitalizmu nawet wówczas, gdy formalnie wypierają się ideologicznego pokrewieństwa z ustrojem kapitalistycznym.

Ze szkodą dla istoty i misji Kościoła stał On się w oczach wielu przywódcą tych, którzy stawiają na wycięstwo świata kapitalistycznego. Za mało zostało dokonane, by się strona katolicka od sugestii takiej roli ostatecznie odcieła. Rzecz oczywista, w tej atmosferze ani Kościół nie znajduje warunków dla pełnienia swej misji, ani katolicy nie mogą wpływać na rozwój socjalizmu.

**

Nasza krytyka tej szkodliwej postawy nie jest nawet w najmniejszej mierze wyrazem jakiegoś doktrynalnego odszczepieństwa. Cała powyższa problematyka nie ma w ogóle nic wspólnego z zasadami doktrynalnymi Kościoła.

Merytoryczna strona problemu zaczyna się dopiero przez postawienie pytania — czy Kościół ma, czy też nie ma pozytywnych zadań do spełnienia w stosunku do świata marksistowskiego. Odpowiedź jest oczywista — tak.

Problem ten znów sprowadza się do praktyki. W jakich warunkach

obowiązek ten można realizować najlepiej? Jeśli prowadzenie pracy duszpasterskiej należy niewątpliwie do kompetencji kapłańskich, to stwarzanie zewnętrznych warunków, umożliwiających apostolat, należy przede wszystkim do atrybutów działalności świeckiej. W tej płaszczyźnie, poza wiarą, moralnością i jurysdykcją, mamy prawo mieć i realizować własne poglądy nawet wówczas, jeśli one się różnią od poglądów naszego proboszcza, czy nawet biskupa. Mamy natomiast obowiązek zachowania się taktownie w wypadku takiej różnicy poglądów, co też zresztą zawsze staramy się czynić.

W najmniejszej mierze wreszcie nie zamierzamy przed nikim ukrywać, czy zmniejszać rozmiaru sporu światopoglądowego i trudności, wynikających z faktu, że katolicy w tym zakresie nie mogą być bierni. Uważamy jednak, że właściwą reakcją może być tylko taka, która umożliwia jednocześnie prowadzenie w obecnej rzeczywistości dzieła pozytywnego.

Obecna postawa niektórych wpływowych środowisk katolickich w Polsce, tę pozytywną pracę w zasadzie wyklucza.

**

Toczące się rozmowy między przedstawicielami Hierarchii i Rządu nie miały na celu uzyskanie od stron zmiany ich doktrynalnych stanowisk. Zadaniem rozmów na tym odcinku było uzgodnienie form współżycia w oparciu o fakt istnienia doktrynalnej różnicy poglądów. Nie po raz pierwszy zdarza się Kościołowi przystosowywać swe formy działania do nowych warunków. Nigdzie też nie jest powiedziane, że Kościół zawsze cieszyć się będzie optymalnymi warunkami pracy. Przeciwnie, całkowite spełnienie się doktrynalnych postulatów Kościoła na odcinku stosunków z Państwem, jest nieomal niespotykanym wyjątkiem. Nawoływanie do porozumienia także nie ma nic wspólnego ze zrezygnowaniem z zasad w Kościele obowiązujących. Jest tylko przystosowaniem się do istniejących warunków życia państwowego, maksymalnym wykorzystaniem możliwości, co prowadzi do uniknięcia złych skutków fałszywego ustawienia katolicyzmu w konkretnej rzeczywistości.

Właśnie francuski teolog z XIX wieku, Biskup Dupanloup ostrzegł jeszcze przed 100 laty przed hołdowaniem w katolicyzmie naiwnemu doktrynerstwu w sprawach stosunków doczesnych. „Kościół, tłumaczył on, utrzymuje i

WIELKI POST

Wkroczyliśmy w okres Wielkiego Postu. Liturgia Kościoła jest jakby wielkim dramatem, który zawsze z jednakową siłą ożywia etapy Historii Świętej. Niedawno śpiewaliśmy kolędy i słuchaliśmy słów Chrystusa błogosławiącego gódom w Kanie Galilejskiej. Teraz przed naszymi oczami wyrastają inne obrazy. W pierwszą niedzielę Wielkiego Postu Ewangelia prowadzi nas do jednego z najbardziej tajemniczych okresów życia Chrystusa: do tych czterdziestu dni, które przeżył On na pustyni poszcząc i odrzucając pokusy szatana. Podczas tych dni i bezsennych nocy dojrzywało boskie posłannictwo, które potem miało napełnić świat słowami miłości.

Tylko wtedy zrozumiemy w pełni sens Wielkiego Postu, gdy będziemy mieli przed oczyma perspektywy Historii Świętej. W Środę Popielcową schylaliśmy głowy pod sypiącym się popiołem i szmerem słów: „memento, homo, quia pulvis es...”. Te słowa, którymi Księga Genezy żegna Raj utracony, cofają nas do samych źródeł dramatu ludzkości. Ale gest pokutny Środy Popielcowej nie jest wyrazem rozpacz. Przecież wiemy wszyscy, że ten okres, który się przed nami rozwiera, jest wielkim przygotowaniem do święta Zmartwychwstania. Pokuta chrześcijańska nie jest nigdy negacją życia, ale właśnie walką o życie pełniejsze i lepsze, o życie wyzwolone od śmierci.

Okres Wielkiego Postu daje nam wiele okazji do rozmyślań, wymaga od nas skupienia, wymaga wielu chwil, a może nawet godzin samotności. Ale samotne rozmyślanie chrześcijanina muszą zawsze odbywać się w cieniu tamtej samotności Chrystusa, który poto odszedł na pustynię, aby walczyć o zbawienie świata.

broni całą pełnię doktryn i zasad wiary. Niemniej jednak zachowuje tu poczucie umiaru, dyktowane okolicznościami czasu i warunków“.

Wszędzie na świecie katolicyzm rozwija się w warunkach wielkiego wysiłku pokonywania trudności, wynikających ze świeckich form życia. Formy te są wyrazem epoki i trzeba się do nich dostosowywać dla skuteczności własnej wizji. Wszelkie formy społecznego czy materialnego uprzywilejowania nie tylko łatwo demoralizują katolików, lecz faktycznie utrudniają apostołat Kościoła, stawiając go często w dwuznacznej sytuacji w obozie „beati possidentes“.

Jeśli na Zachodzie, szczególnie we Francji, rozumiano już dobrze niebezpieczeństwo społecznego uprzywilejowania w dzisiejszym świecie, zbyt wielu Polaków żyje jeszcze w tym starym kompleksie. Z pozycji uprzywilejowania, w jakiej się w ostatnim okresie historycznym rozwijał katolicyzm, trzeba zejść nie dlatego, żeśmy się zachwiali w swych przekonaniach, lecz dlatego, że takiej postawy wymaga po prostu apostołstwo. Trzeba to zrobić tak samo dobrowolnie i świadomie, jak świadomie niektórzy kapłani francuscy rezygnują ze społecznej pozycji mieszczańskiej dla pełnienia swego powołania jako robotnicy wśród robotników.

**

Liczne w ciągu ostatniego okresu deklaracje rządowe dawały podstawę do szukania porozumienia. Trzeba było jednak wykazać zdolność i energię przezwycięzania trudności, wynikających z faktu ścierania się dwóch różnych światopoglądów i rozumieć, że koniunktura wielkiej światowej rozrywki w żadnej mierze nie pozwala oczekiwać na to, by ruch marksistowski w Polsce mógł długo zajmować postawę wyczekująco-zapraszającą. Zbyt często w obozie katolickim hołdowano przekonaniu, że należy w sprawie „modus vivendi“ grać na zwłokę, zbyt często ludzono się, że partner ograniczy się do pobłażliwego wyczekiwania. Twierdzimy, że mimo niewątpliwego istnienia wśród katolików silnego obozu „dobrej woli“ w stosunku do porozumienia, rzeczywisty wysiłek był w każdym konkretnym wypadku zbyt mały.

Najistotniejszą trudnością praktyczną na drodze do „modus vivendi“ jest w dalszym ciągu wyraźna chęć, przejawiająca się w obozie katolickim, by w żadnej mierze nie związać się politycznie z dokonanyymi w Polsce socjalistycznymi przemianami. Te same czynniki nie mają odwagi odciąć się od politycznej

akcji, dążącej do rzucenia autorytetów katolickich na szalę sprawy świata kapitalistycznego. W odpowiedzi na stawiane tej części obozu katolickiego zarzuty pada przeważnie pytanie, czy marksści wykazują dostateczną dobrą wolę i realizując posiadanymi środkami swe ideały, nie zagrażają stanowi posiadania katolicyzmu polskiego. Fakt, że marksści realizują swój program, jest oczywisty. Nigdy żadne pertraktacje temu nie zapobiegną. Tylko właściwe ustawienie się katolików do aktualnych problemów racji stanu i państwowości może na tym odcinku ich sytuację poprawić. Reszta zależy od ich światopoglądowej i ideowej dojrzałości. Bez popadania w przesadny woluntaryzm trzeba stwierdzić, że ten wielki problem jest niezależny od dobrej woli jednostek. Zależy jest od postawy mas, tak w skali narodowej, jak i światowej, które będą jednocześnie swój stosunek do katolicyzmu i do socjalizmu przeżywać. Jeśli będą przeżywać właściwie to ułożenie się stosunków będzie musiało realizować się mimo oporu, trudności, nieporozumień, mimo nawet ewentualnej złej woli poszczególnych jednostek.

**

Nie schodząca z łam prasy sprawa „Caritasu“ wiąże się niewątpliwie z istniejącym stanem faktycznym na odcinku stosunków między Kościołem a Państwem. Ta wielka, zasłużona i niezwykle cenna katolicka instytucja charytatywna wyrosła bowiem na jakichś „dzikich polach“, właśnie na rubieży stosunków dwóch niezgranych ze sobą organizmów — kościelnego i państwowego. Z jednej strony rządzona była zasadami prawa kanonicznego, opierała się na siatce diecezjalnej i parafialnej, rządziło nią w pierwszym rzędzie duchowieństwo. Z drugiej jednak strony — tenże sam „Caritas“ jest dziś faktycznie częścią wielkiego, ogólnonarodowego aparatu opieki społecznej i higieny, prowadzi 900 przedszkoli, 230 świetlic, żłobki, internaty, przychodnie lekarskie, schroniska, kolonie, obozy, różnego rodzaju poradnie. Z pomocy „Caritasu“ korzysta około 100 tysięcy rodzin i 60 tysięcy starców. Płyną pieniądze ze zbiorów ulicznych, z budżetu państwowego, z darów zagranicznych. Czy w epoce planowania, w ogóle w epoce współczesnej, jest możliwe, by ten olbrzymi aparat nie znajdował się w żadnym formalnym stosunku do Państwa? Poza wszystkim istnieje bynajmniej nie małe zagadnienie — w jakim duchu jest tam

prowadzona działalność? Czy z duchem katolickim nie łączy się tam przypadkiem owa niebezpieczna atmosfera politycznej wrogości, o której przed chwilą mówiliśmy? Brak realnych form współżycia Kościoła i Państwa musiał w rezultacie wynaturzyć pewne odcinki tej pięknej działalności. Żadna siła ludzka nie mogłaby temu w naszych warunkach zapobiec. Wynaturzenia te stanowią naszym zdaniem, problem groźniejszy od wszystkich nadużyć czy nieporządków materialnych. Stanowią one bowiem natychmiast nowe zarzewie konfliktów między Kościołem a Państwem.

Dawny i obecny „Cairtas“ — niezależnie od tego jak ułoży się powiązanie zadań tej instytucji z przepisami prawa kanonicznego — wypełnia wielką misję chrześcijańskiego miłosierdzia. Czy więc ze względu na zmianę stanu formalnego, ze względu na oczywistą niemożliwość dalszego istnienia tak potężnej akcji charytatywnej poza organizmem państwowym — owe sto tysięcy rodzin i sześćdziesiąt tysięcy samotnych ma przestać korzystać z opieki chrześcijańskiej? Czy społeczność katolicka ma zrezygnować z prowadzenia przedszkoli, świetlic, żłobków, burs, kolonii i innych placówek pracy charytatywnej? Lub czekać aż kiedyś, gdy nareszcie „modus vivendi“ stanie się faktem, będzie można tę akcję rozpocząć od nowa?

Stanowisko zajęte przez nas w stosunku do sprawy „Caritasu“ jest prostą konsekwencją naszej ideowej postawy. Uczyniliśmy wszystko przez ostatnie lata, by przyczynić się do osiągnięcia porozumienia, przeto obecnie pragniemy się z kolei przyczynić do tego, by w nowych warunkach „Caritas“ nadal pełnił swą chrześcijańską misję. Pragniemy ponadto starać się o to, by działalność obecna „Caritasu“, w ostateczności wpływała pozytywnie na perspektywę nowych rozmów i na przyszłe osiągnięcie upragnionego „modus vivendi“.

Uświadomiamy sobie istnienie poważnych rozbieżności w poglądach obozu katolickiego na sprawy aktualne. Uważamy jednak za konieczne, przez wzgląd na wyższe dobro, walczyć o nasze w tej dziedzinie poglądy. Jesteśmy głęboko przekonani, że jeśli różne poglądy na sprawy polityczne i doczesne potrafią uszanować obowiązującą wszystkich katolików jedność w wierze Chrystusowej, której wyrazem jest Kościół Powszechny, — spór taki wyjdzie tylko na dobro sprawy katolicyzmu.

Kazimierz Piekut

W I E R S Z E

WIEŚ SPOWIADA SIĘ NOCĄ

Wieś pachnie snem wierzbowym i znojem
nad wiejską nocą czuwa Pasterz Dobry.
Trudno zasnąć spokojnie,
gdy gwarzą zioła
i śpiewa słowik.

Pozwól mi dotknąć czołem stóp Twoich,
Pasterzu Dobry,
Któryś bóle porodu odjął żonie słowika
a życie ptaków utkał z jasności i pieśni.
Szczęśliwy słowik,
gdy go snem upoi
przedświt.

Czyjś oddech, nie chcący, trącił śpiącą witkę wierzbową,
z liści splywa zielonych westchnień kaskada.
Ciszą smaczną jak chleb razowy
wieś się swojemu Stwórcy spowiada.

TREŚĆ CZASU

Kasztany zagarnęły pod siebie z rynku
wszystkie cienie,
a w chłodzie pod kasztanami
trwonią uśmiechy chłopcy i dziewczynki.
Godziny lażą po dachach blaszanych
dokoła rynku.

Dzwony młóć na dachu fary
południe nabrzmiało wiecznością
jak kłosa dojrzałym zbożem.
Czas ocknął się w sercu zegara,
uderzył się w pierś pięścią
dwanaście razy
i z powrotem ręce na wskazówkach położył.

Na grzywie obłoku uśmiech lata przysiadł
plamą jasną.
Gołębie, klaskając w skrzydła,
gonią nad miastem wydzwonioną treść czasu.

PRZEKŁAD NOWEGO TESTAMENTU

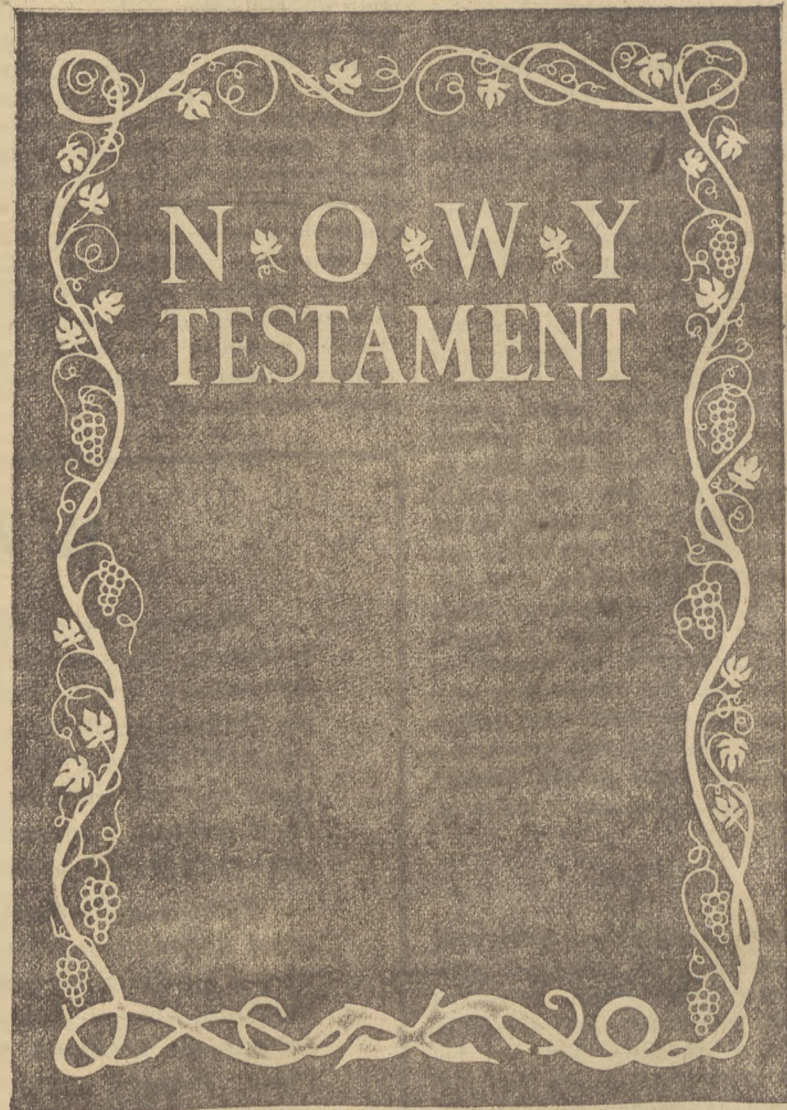
(z recenzji ks. Jana Rostworowskiego T. J. w »Przeglądzie Powszechnym«, kwiecień 1948)

Jeżeli w świetle tych uwag przypatrujemy się przekładowi Nowego Testamentu, jaki dał nam świeżo Ks. dr Dąbrowski musimy go uznać w ogromnej większości za bardzo udany. Co dotyczy języka, jest on nie tylko czysty, ale przeważnie piękny i jasny, a ujmujący pewną swobodą i prostotą stylu. Zaledwie tu i ówdzie wolałoby się, ze strony czysto lingwistycznej inny szyk zdania, albo użycie innego wyrazu. Wierność myśli natchnionych pisarzy, nawet tam gdzie ją bardzo trudno osiągnąć, jak w listach św. Pawła, prawie wszędzie nie naganna, za wyjątkiem kilku miejsc, które są albo oczywiście niedopatrzaniem korektora, albo niewłaściwym ustępstwem dla poprzednich komentatorów lub tłumaczy. Rzecz zupełnie prosta, że tutaj, gdzie

każdy wyraz z osobna musi być brany na apteczną wagę, a wagi niestety są dosyć różne, znajdzie się sto i dwieście miejsc, które ten lub ów krytyk rad by widzieć przełożone inaczej — dla przykładu podamy niżej, od siebie, kilka próbek — ale sądzę, że uzasadnionej i poważniejszej sprzeczności z myślą św. tekstu nikt Księdzu D. wytknąć nie zdola. Inna rzecz — jeśli zjeździemy na pole pewnego gustu, czy sentymentu, który przy ogromnym umiłowaniu Bożego słowa, większą niż gdzie indziej odgrywać tu może rolę. W ogóle więc sądzę, że Ks. dr D. oddał swym przekładem dobrą usługę może i kanzodziejom, a w każdym razie tym, coraz liczniejszym miłośnikom Pisma świętego, którzy pragną poznać je z samych ksiąg natchnio-

nych, a podanych w języku oczystym przystępnie, a wiernie i pięknie...

...Tego rodzaju uwag można by zrobić jeszcze sporo, ale sądzę, że nie ma ani jednego przekładu Pisma świętego w żadnym języku, któremu by wiele podobnych „usterek“ zarzucić nie można. Że u Księdza Dąbrowskiego jest ich i względnie niedużo i bynajmniej nie rażących, to potwierdza tylko sąd poprzednio sformułowany, że ten nowy przekład jest w ogóle bardzo dobry i, że oznacza duży postęp wobec tych, co go poprzedziły. Drobne braki tego dzieła dadzą się bez trudności poprawić w nowych wydaniach, a usługi, jakie ono od będą na długie lata wielkimi i trwałe.



W TŁUMACZENIU KS. DR. EUGENTUSZA DĄBROWSKIEGO

WYDANIE DRUGIE

SP. WYD. „P A X“

STRON 1032

CENA 800.—

DLA CZYTELNIKÓW DZIS I JUTRO

RABAT 10 PROCENT

ale
t to księ
biblioteki

Wojciech Kętrzyński

Francja kraj misyjny

KATOLIK NASZYCH CZASÓW



KSIĄDZ ROGER DELIAT — ROBOTNIK WYKWALIFIKOWANY W WIELKICH ZAKŁADACH SAMOCHODOWYCH RENAULT — JEST CZŁONKIEM „MISSION DE PARIS”. MIESZKA W ROBOTNICZEJ DZIELNICY BILLANCOURT I TAM, W GODZINACH WOLNYCH OD PRACY, WYPEŁNIA SWĄ MISJĘ DUSZPASTERSKĄ.

AWIAM się, by w ciągu długiego cyklu artykułów, poświęconych aktualnej problematyce politycznej i misyjnej współczesnej Francji, czytelników nie drażniła pewna niekonsekwencja wypowiedzianych poglądów. W istocie przez cały ciąg tych sporządzeń przeplata się zachwyty i ostra, czasami boleśnie ostra krytyka. Czy nie kryje się za tym zwykła inteligentka poza, chęć utrzymania swej niezależnej pozycji intelektualnej, w której znalazło by się miejsce i na konwencjonalny rewerans w stronę uroku i geniuszu „la douce France”, lecz i także dla pełnego wyższości odruchu pogardy w stosunku do „La France pourrie”?

Pragnąłbym bardzo nie być w taki sposób rozumiany.

Francja przechodzi niewątpliwie przez bardzo ciężki okres dziejowy. Czy tylko Francja zresztą? W istocie kryzys taki przechodzi dziś cała tak zwana „kultura zachodnia”, której właśnie Francja jest częścią składową. Kryzys ten charakteryzuje chyba najlepiej coraz to wyraźniej ujawniająca się rozbieżność między potęgą myśli a impotencją czynu tych środowisk, które się w kręgu klasycznej „zachodniej kultury” znajdują. Tęsknota za czynem, za materialnym osiągnięciem jest tak duża, że doprowadziła wysokiej nawet klasy elity intelektualnej do sprzyjania rozmaitemu autoramentu faszyzmu, hitleryzmu, frankizmowi, czy gaullizmowi — byleby móc się rozwijać w rodzinnej atmosferze i mieć jednocześnie wrażenie, że należy się do świata zdobywającego sobie przyszłość.

Francja tę rozbieżność między głębią swego kulturowego dorobku a dekadencją swych form życia, tak indywidualnego jak i zbiorowego przeżywa od dłuższego czasu niezwykle głęboko. Tym głębiej, im żywsze tam są tradycje minionej potęgi, tym boleśniej im bardziej ciemna i groźna wydaje się przyszłość.

Trudno jest więc, nawiązawszy kontakt z rzeczywistością francuską nie krytykować tej atmosfery marazmu, nie demaskować fan-

faronady i napuszonego „mocarstwowego” słownictwa, za którym się kryje świadomość swej oczywistej słabości, nie potępić hamletowskiego monologu francuskiego mieszczaństwa. Trzeba jednak uświadomić sobie, że ten akt surowej nagany rozciąga się w rzeczywistości nie tylko na Francję, lecz na cały obszar „zachodu”, odnosi się do wszystkich, którzy w tej atmosferze się rozwijają, nie zależnie od tego, czy mieszkają na półwyspie Pirenejskim, czy w Polsce, czy w Czechach. W świetle tego kryzysu śmieszne wydają się buńczuczne wypowiedzi ideologów Paktu Atlantyckiego, czy Unii Europejskiej, gdyż w ich obozie nie dostrzegamy niczego, co by posiadało zdolności wiązania ludzi i narodów, co by dawało im siły do walki, prowadziło do zwycięstwa. Tęsknota za materialnym dobrobytem prowadzi najwyżej do podporządkowywania się dyktaturze amerykańskiej, która w istocie przynosi kulturze zachodniej nie wybawienie — lecz zagładę. Stąd im konkretniejsze i bardziej bezwzględne stają się żądania namiestników z Nowego Świata, tym większy staje się niepokój „zachodniego świata”, tym częściej słowo „neutralność” brzmi w ustach umiarkowanych.

**

Tak więc ową nietscheańską „Wille zur Macht”, charakterystyczną dla odruchów niektórych skrajnie reakcyjnych środowisk zachodnich — hamuje w pierwszym rzędzie strach przed jutrem, który przenika ich własne szeregi. Jednak obok tego, właśnie w oparciu o głębie prawdziwej, niesfalszowanej treści kulturalnej zachodu, coraz to mocniej daje się odczuć inna reakcja długoprzytłumionego ludzkiego sumienia.

Cała moc chrześcijańskiego ruchu odrodzającego na zachodzie z tegoż właśnie buntu sumienia się wywodzi. Daleką też drogę przeszło to odrodzenie, od chwili, gdy zaczęły kielkować pierwsze reakcje moralne poprzez twardą skorupę egoizmu, osobistego użycia, zasady wolnej konkurencji i ni-

czym nie skrepowanej walki o rynki zbytu. Jeden ze starszych teologów francuskich opowiadał mi o wizycie, którą złożyła mu kiedyś grupa powszechnie szanowanych w sferach mieszczańskich bankierów paryskich. „Przeprowadzamy stale różnorakie transakcje bankowe, zwieriali mu się z niepokojem. Robimy to, ponieważ wszyscy naokoło nas tym się przecie zajmują. Mamy jednak wewnętrzne przeświadczenie, że są one w gruncie rzeczy nieuczciwe; ich niesprawiedliwość, ich niemoralność zatajona jest prawomocnością formalną. Tak się nam przynajmniej wydaje; to jakby nasz moralny węch nas przed tym ostrzega, gdy nie jesteśmy w stanie do tych czynności przykładać zasad sprawiedliwości chrześcijańskiej. Czyż mamy więc porzucić nasze zajęcia? Przecież to byłaby ruina nasza, naszych dzieci, naszych przedsięwzięć, skazanie na bezrobocie tych wszystkich, którzy w naszych zakładach pracują i ich rodzin! Cóż mamy więc zrobić?”

Ileż moralnej miękkości kryło się za tymi zakłopotanymi pytaniami panów, których życie dostatecznie zagrożone było w ich mniemaniu nędzą, jeśli by postępowali po chrześcijańsku. Jakże tej tak typowej dla mentalności „zachodniej” rozmowy nie zestawieć ze wstrząsającymi słowami Ewangelii: „Jednego ci brak, idź, sprzedaj wszystko co masz i rozdaj ubogim a będziesz miał skarb w niebie, a wróć i pójdź ze mną” i przypomnieć jeszcze westchnienie Zbawiciela — „jakże trudno jest tym, którzy nadzieję swoją pokładają w bogactwach, wniknąć do Królestwa Bożego. Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wniknąć do Królestwa Bożego” (Jan 10, 21, 24 — 25).

Z dumą możemy dziś stwierdzić, iż niektóre środowiska chrześcijańskie na Zachodzie daleko już odeszły od tej sentymentalno-moralizatorskiej postawy jałowego wyrzutu sumienia. Mamy tu na myśli nie tylko przykłady wybitniejszych jednostek, księży - robotników z „Mission de Paris”, katolików - bohaterów „Résistance”, współczesnych „objecteurs de conscience”, którzy odmawiają służby w wojsku, podporządkowania niemu niemoralnym celom. Piękny jest wysiłek katolickiej prasy, która, w poważnej części co najmniej potrafi dziś obronić się przed psychozą zakłamania, potrafi, narażając się nawet na ostre polityczne nagonki, na dotkliwie materialne szantaże, bronić chrześcijańskiego punktu widzenia na wojny kolonialne, parodie burżyznyj sprawiedliwości, mamiłdza kapitalistycznej gospodarki. Prawdziwym świadectwem odrodzenia moralnego, krzewiącego się w obozie chrześcijańskim są przede wszystkim akty bezkompromisowej i skutecznej walki z tym społecznym porządkiem, który tak perfidnie potrafi kusić swymi pozorami „łatwego życia”.

Jednak jeszcze piękniejsze i bardziej wymowne jest to dzieło zbiorowe i twórcze, szczególnie tam, gdzie się ono solidaryzuje z walką dotąd upośledzonych mas, na przedmieściach Paryża, Marsylii, Lyonu, w Limoges, Saint-Etienne w okęgach północnych. Działającym w tym kierunku jest Mouvement Populaire, który, po wyczer-

paniu wszelkich środków perswazji i oczekiwaniu na interwencję władz państwowych — siłą oparowaną opuszczone luksusowe rezydencje, by lokować tam rodziny bezdomne i wynędzniałe. Bierze on na siebie opłacanie każdorazowych kosztów sądowych, skandalicznie wysokich wyznaczonych na tych bezdomnych komornych, gdy nie udało się właścicielom swych willi i pałaców odzyskać. W Marsylii organizacja ta ulokowała w ten sposób DWA TYSIĄCE SZESZCIESET rodzin, w Nicei — 500, w Paryżu — 250, w Rouen 150, w całej Francji ogółem zdobyto szturmem mieszkania dla CZTERECH TYSIĘCY RODZIN, wyprowadzonych z nor, suteryn i walących się ruder! Gdy akcja ta przez swą masowość zaczęła grozić poważnie przywilejom najbogatszych, sąd w Angers skazał dwoje przywódców MPF — starszą kobietę, p. Brisset i jej najbliższego współpracownika p. Bughin na karę więzienia bez zawieszania, oraz na poważne grzywny, by raz na zawsze odstraszyć amatorów mieszkań od letnich rezydencji możnych. Może najistotniejszą przyczyną wyroku nie był fakt bliskich stosunków zagrożonej w swych prawach „obywatelki” z jednym z dygnitarzy, nie fakt, że pałacyk w Angers był używany dwa razy do roku po dwa tygodnie, lecz skandaliczny fakt, że p. Brisset pochodziła sama z mieszczańskiego środowiska i powinna była szanować zasady klasowej solidarności.

Dzięki tej właśnie rewolucji psychicznej następuje dziś, mimo wszelkich trudności, zbliżenie między tym ruchem chrześcijańskim, który wynika z buntu chrześcijańskiego sumienia, z tym buntem, który wynikł w ciągu XIX wieku w szerokich masach ludowych z poczucia niekończącej się krzywdy i rodzącej się świadomości własnej wartości każdego człowieka. W tym kręgu pojęć spotykają się, mimo konfliktów światopoglądowych — postępowi działacze chrześcijańscy z komunistycznymi działaczami związków zawodowych, ludowych organizacji oświatowych, bojowników o pokój.

Do niedawna jeszcze kapłan katolicki, czy działacz społeczny pracował w środowiskach proletariackich otoczony atmosferą powszechnej nieufności. Dopatrywano się w nim, nie bez pewnych podstaw, w najlepszym razie nieświadomego wysłańca sfer posiadających, pragnących miłosiernym ochłapem lub też tylko litościwym słowem uśmierzyć bunt, uspić poczucie dziejącej się krzywdy. Wbrew najlepszym intencjom nawet charytatywna działalność chrześcijańskich pracodawców, odwołujących się do tradycji wielkich nazwisk — Le Play, de Mun, La Tour du Pin, Harmel — jeśli nawet w wielu wypadkach obiektywnie poprawiała byt mas pracujących, wniosła więcej zadrążnienia niż ulgi. Masy te bowiem pragnęły sprawiedliwego ustroju, otwierającego całej klasie robotniczej możliwości rozwoju, a nie zaś rzetelnych wysiłków mniejszości nie zmieniających nic istotnego w ich beznadziejnym położeniu. W połowie jednak wieku XX — katolicki działacz społeczny, jeśli reprezentuje postawę postępową jest już towarzyszem walki w złej i dobrej doli. Tym się właśnie różni merytorycznie solidarystyczne „Oeu-

vre des Cercles” od zbliżającego się do idei socjalistycznych „Mouvement Populaire des Familles”, choć oba te ruchy wywodzą się ze wspólnej bazy światopoglądowej katolickiej.

**

Przedmiotem niepokoju duchownych i świeckich działaczy katolickich jest fakt, że mimo tytu i tak dalece przemyślanych wysiłków, włożonych w dzieło odrodzenia katolicyzmu — liczba praktykujących pozostaje procentowo na jednym poziomie. Ocenia się dziś, tak jak i dwadzieścia lat temu, że katolików w pełnym tego słowa znaczeniu jest tam najwyżej 10 proc. Jedni, zniechęceni, opuszczają ręce; inni oskarżają się nawzajem o niestałość metod pracy, wypominając, że katolicy francuscy co lat dziesięć wynajdują jakąś nową „wunderwaffe” przeciw religijnemu zobojętnieniu, jakiemu ulega społeczeństwo. Sprawiedliwość każe jednak stwierdzić, że jeśli dane statystyczne wykazują zastój liczbowy katolicyzmu, to jednak jest faktem stwierdzonym, że uporczywa i umiejętna praca podniosła bardzo poważnie w artosć tego odsetka. Wśród tych bowiem 10% przeważa dziś ten typ czynnego działacza, społecznie postępowego, biorącego świadomie udział w życiu społeczeństwa, i walczącego naprawdę o przekształcenie życia ludzkiego zgodnie ze wzorem Ewangelii. Otacza go masa katolików - konformistów, u których ani praktyka religijna ani cnoty chrześcijańskie nie stanowią linii kierunkowej. Są oni katolikami z nazwy w przekonaniu, że obyczaje i interesy ich środowiska wymagają pewnych religijnych demonstracji. Wreszcie, ten nowy typ katolika, znajduje się w codziennym kontakcie z masami, które wyrastają w atmosferze pozbawionej wszelkiego spiritualizmu, bądź to dlatego, że od Kościoła odeszły, bądź też dla tego, że życie ich nie pozwala w ogóle na oderwanie się od najtrywialniejszej pojętej ziemskości.

Ten nowy typ katolika, katolika naszych czasów, nie jest zastrzeżoną własnością Francji. Jest wyrazem prądu przebiegającego katolicyzmu światowy i bazującego na nowych formacjach kulturowych i ideowych współczesności. Skoncentrował on w sobie to, co kultura zachodnia posiada w sobie wartościowego i gotuje się do dzieła przeszczerzenia swego spadku przyszłym formom życia ludzkiego. Nie wolno jednak, pod żadnym pozorem idealizować tego prądu, gdyż jest on wyrazem form żywych, stale się przetwarzających. Walczy on z własną słabością, w pierwszym rzędzie z koniencnością przełamania kryzysu przeintelektualizowania i bierności, walczy z pokusą solidaryzowania się z walącym się światem mieszczańskim, którego się wyparł, choć wiąza go z nim tysiące jeszcze niezwykle mocnych więzów.

Wielkim dziełem odrodzającego prądu społecznego wśród katolików zachodnio - europejskich jest przełamanie zdawien dawna ciągnących nad katolicyzmem tendencji teokratycznych przez wysunięcie świeckiego i całego zakresu jego spraw, do rządu praktycznie równemu problematyce duchownej. W niczym nie naruszając elementarnej struktury Kościoła (dokończenie na str. 4)

ciola, podporządkowania Hierarchii, dyscypliny i autorytetu stanu duchownego — odkryto starą prawdę, że chrystianizacja świata wymaga współpracy ludzi tego świata ze sługami Bożymi. Odkryto, że równie ciężki jest grzech pychy świeckiego, który by nie uznawał autorytetu duchowieństwa w sprawach jego wiary i moralności, jak grzech pychy duchownego, który by chciał sądzić i znać świat doczesny, a zwłaszcza w jego społecznej strukturze, lepiej od tego, kto się z nim pora na codzień. Po paru latach pracy i duszpasterskiej i świeckiej stwierdza jeden z księży-robotników:

„Odkryliśmy, że ksiądz nie jest bynajmniej jedynym dojrzałym między dziećmi, ale jest człowiekiem dojrzałym wśród społeczności innych ludzi dojrzałych. Jest on niewątpliwie nosicielem specjalnego posłannictwa, ale są też i inne posłannictwa, które winien przyjmować od tych, z którymi współpracuje. Wówczas zrozumie on lepiej ludzkość, którą Bóg stworzył i która czeka na Dobrą Nowinę“.

Gdyby taki był powszechny wzajemny stosunek świeckich i duchownych, wśród codziennych problemów współpracy nie byłoby tylu niepotrzebnych zadrażnień i znikłby zarzut „m e n t o r s t w a“ jakim się chętnie obdarzają obie strony wówczas, gdy chcą siebie uważać za dorosłych, a drugich za dzieci naiwne i niewiedzące.

Dzięki tej szczęśliwej współpracy zdołano tam w pewnej mierze odrobić błędy i praktyczne zaniedbania, które ciążyły boleśnie na poprzednich pokoleniach. Wypomni na się dziś często, że brak realizmu katolickiego skierował wysiłek poprzednich pokoleń na budowanie utopijnych zrębów chrześcijańskiej społeczności, miast troszczyć się o Kościół w społeczeństwie takim, jakie je tworzy epoka; tworzono chrześcijańskie ruchy robotnicze czy ludowe nie zapuszczając korzeni w rzeczywistości zamiast kłaść fundamenty katolicyzmu w ruchach robotniczych i chłopskich istniejących; za rzuca się wręcz stawianie na pierwszym planie humanizmu chrześcijańskiego ponad problem chrystianizowania ludzkości. Ogólnie biorąc pojęcie „chrześcijaństwo“ wzięło pierwszy krok nad pojęciem KOŚCIOŁ. Trzeba było interwencji czynnika świeckiego by móc wyodrębnić tę sferę w której Kościół i jego bezpośrednie sprawy muszą mieć bezwzględne pierwszeństwo i tę w której każdy katolik jest po prostu członkiem społeczeństwa i gdzie ma najlepiej wypełniać swe społeczne obowiązki, dyktowane przez specyficzne warunki epoki a nie przez utopijne i idealistyczne ambicje.

W ślad za tym urealnieniem postawy chrześcijańskiej przyszło, charakterystyczne dla odrodzonej myśli katolickiej współczesnej, uświadomienie sobie wagi i rozmiarów dziejącego się dziś na ziemi przełomu.

„Dawniej, pisze na ten temat redaktor „Vie Intellectuelle“, wydawało się wiadome co czynić, by prowadzić chrześcijańską działalność. Wiara w swym zakresie zasadniczym i boskim wydawała się powszechnia uznana. Wystarczyło wyciągnąć z niej zasady, które, w zakresie spraw praktycznych, pozwalały nam bez wahania sądzić i działać. Teoretycznie wszystko było więc najepełniej w porządku. Jednak z chwilą gdy katolicy znaleźli się gdzieś na stanowiskach kierowniczych —

stwierdzali, że nic z tego nie wychodzi. Te „zasady“ w praktyce nic nie były warte...

Gdy więc chrześcijanin pragnie wprowadzać w życie zasady swej wiary — wnioskuje dalej autor, nie wolno mu zapominać, że ta sama wiara by móc odkryć te same zasady, współpracowała ze światem w którym on chce działać. Te spostrzeżenia, które może się komuś wydać niespodziewane, jest niczym innym jak przypomnieniem najbardziej klasycznych nauk św. Tomasza. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że po wstrząsach, przez które przeszedł świat, „zasady“, wypracowane niegdyś w czasach spokojnych i w innym psychicznym klimacie — straciły dziś całkowicie swą wartość praktyczną...“

**

Poznanie nowych warunków życia ludzkości, przystosowanie metod chrześcijańskiego działania do nowych zadań stąd wynikających, skierowanie aktywności katolickiej na nowe tory — oto konsekwencje dokonanej rewolucji intelektualnej i ideowej. Jeśli awangardowa myśl najbardziej postępowych ośrodków katolickich posunęła się już daleko w zakresie formułowania tych odpowiedzi — masy, tradycje, siła ciężenia konkretnej rzeczywistości zachodniej,

rzeczywistości burżuazyjnej i kadencjonalnej — hamują procesy rozwojowe tej rewolucji ze stadium intelektualnego w stadium realizacyjny. Stąd nikły a wysoki jakościowo odsetek prawdziwych katolików na zachodzie.

Stąd też dalszy rozwój odrodzeńczego ruchu chrześcijańskiego na Zachodzie uzależniony jest już w dużej mierze od społecznej a nawet politycznej ewolucji świata zachodniego. Można powiedzieć nawet konkretniej iż uzależniony on jest od rewolucji społecznej, która by obaliła królujący tam burżuazyjny porządek. Katolicy na zachodzie uświadamiają sobie jednak dobrze, że w konsekwencji takiego przewrotu czekałaby ich wielka próba. — Jeśli bowiem wówczas nie potrafiliby z piedestału intelektualizmu zejść w płaszczyznę masowego czynu, zawiedliby nadzieję, którą w sobie niosą. Dotychczasowe jednak osiągnięcia na tych odcinkach na których już się toczy bój rzeczywistości, każą sądzić, iż ich zdolność działania jest niemiejsza niż zdolność działania szeroko pojętego obozu rewolucji w świecie.

Analizując problematykę zachodnio-europejską musimy więc stale uświadamiać sobie, że mamy do czynienia z tworem wybitnie tymczasowym, umieszczo-

nym w niezmiernie chwiejnej równowadze między dwoma wielkimi blokami: kapitalistycznym imperium amerykańskim i rewolucyjnym obszarem ludowych demokracji. Obszar zachodnio-europejski, mimo wszelkich rozpaczliwych wysiłków nie pozostanie neutralny. Więcej nawet, ludzie, grupy, kierunki ideowe nie pozostaną neutralne. Już dziś ustawiają się po jednej, czy po drugiej stronie frontu, mimo wszelkich uprzedzeń, lęków czy sprzeczności. Tak więc pojęte zjawisko „zachodnio-europejskości“ jest oczywiście wyrazem tymczasowości. Istotne wartości kultury zachodniej wyrażają się w pełni dopiero wówczas, gdy połączą się one ostatecznie ze zwartym nurtem ideowym budującym zręby przyszłego świata.

Nie wolno nam więc analizować odrodzeńczych tendencji w katolicyzmie zachodnim w abstrakcji od tego problemu. Nie wolno nam zapominać, że między procesami, jakie zachodzą wśród katolików polskich — a tym co się dzieje we Francji, istnieje najbardziej intymny związek. Jest to w gruncie rzeczy jeden i ten sam proces, tylko dziejący się w odmiennych warunkach, no i rzecz prosta, w społeczeństwach o nierównej kulturze chrześcijańskiej.

Trzeba przestać dziś snobować się Zachodem, trzeba zerwać z konwencjonalnym zachwytem nad „francuskim nowinkarstwem“. Trzeba sobie zdać sprawę, że bratnie ruchy walczą tam o swe istnienie i o zwycięstwo swych chrześcijańskich ideałów wśród mas katolickich czy katolicyzujących, przesiąkniętych duchem świata burżuazyjnego. Nasza rola, nasze zadania są identyczne, choć w innych warunkach realizowane.

Żegnano mnie na Zachodzie słowami zachęty: „Liczymy na was. Spodziewamy się po was wiele i jesteśmy przekonani, że to właśnie wy przyjdziecie nam z pomocą w trudnej walce. Wy bowiem pracujecie i rozwijacie się w gorącej i burzliwej atmosferze rewolucji, lecz działacie w obliczu tworzących się zrębów nowej epoki. Musicie przekazywać nam wasze doświadczenie i waszą siłę przekonania“.

Czy katolicy w Polsce zdają sobie dobrze sprawę z ciężaru odpowiedzialności, włożonej na ich barki przez ten pochlebny sąd o naszej roli w katolicyzmie światowym?

Koniec cyklu.
Wojciech Kętrzyński

Eugenia Kochanowska-Wiśniewska

W GDAŃSKIEJ BIBLIOTECE

Starej bibliotece miasta Gdańska, którą gromadziły cztery stulecia, patronuje portret sędziwego Jana Bernarda Bonifacego D'Orii.

D'Oria ma oczy przymknięte. Nie budźcie spokoju D'Orii. Nie wnoście rozgwaru miasta, Waszego pośpiechu i tempa. D'Oria z obrazu wyrasta jak symbol zamierzchłej historii. D'Oria ma oczy przymknięte. Nie budźcie spokoju D'Orii.
(J. Skoszkiewicz)

Księgozbiór neapolitańczyka, D'Orii, który u schyłku XVI wieku uległ wraz ze swym statkiem awarii niedaleko Gdańska — stał się zaczątkiem naukowej biblioteki tego miasta.

Dziś księgozbiór gdański liczy ponad 300 tysięcy tomów i ze względu na niezwykle dużą zawartość swych pól uginających się pod ciężarem szesnastowiecznych druków i rękopisów z dwunastego i trzynastego wieku — wybija się na jedno z pierwszych miejsc wśród naukowych bibliotek polskich.

„Nie wnoście rozgwaru miasta, waszego pośpiechu i tempa“ — te słowa przypominają się znowu, gdy się przestępuje próg mrocznego magazynu rękopisów i starodruków. Rzędem na wysokich półkach stoją oprawne w skórę grube tomy zapisane drobnym, starannym pismem. Z cienkiego pergaminu kart wycierają kolorowe inicjały, w których misternie lazur miesza się z pozłotą...

Czuje się w tej izbie tchnienie dawnych wieków.

Odczuwają to przede wszystkim pracownicy tego działu, możolnie katalogujące najstarsze księgi biblioteki. Jest to praca niesłychanie żmudna, drobiazgowo, wymagająca znajomości zasad opisu starodruków i ogromnej cierpliwości.

Bibliotekarka pochylona w tej chwili nad wielkim pierwodrukiem — inkunabułem, stanowiącym medyczne dzieło z piętnastego wieku, liczy starannie jego karty, kolumny, ilustrowane wiersze w kolumnach i wszystkie te dane drobiazgowo odnotowuje.

W tym czasie obok opisu dawnych druków sporządza się kartoteki drukarzy średniowiecznych, kartoteki miejsc wydania i właścicieli książek.

Z tych przyczynków powstanie z czasem ogromne dzieło obrazujące drogę książki. Jest tu pracy na kilka pokoleń. Kilkadziesiąt tysięcy dawnych ksiąg czeka jeszcze na opracowanie polskie i udostępnienie ich ludziom nauki. Tytuły każdej partii opisanych ksiąg ogłasza się drukiem w czasopiśmie naukowych, aby ludzie wiedzieli, gdzie szukać źródeł interesującej ich wiedzy.

Pod względem liczebności biblioteka gdańska stoi na szóstym miejscu w Polsce, mając zresztą rywalki tej miary, co potężna biblioteka uniwersytecka w Warszawie, czy otoczony legendą wieków sławny księgozbiór jagielloński w Krakowie. Jeśli natomiast idzie o rzadkie druki, to w wielu wypadkach naukowiec daremnie poszukujący w całej Polsce jakichś szczególnie cennych materiałów tu je właśnie odnajduje za pośrednictwem okężnej wypożyczalni uniwersyteckiej.

Bawiący ostatnio w Gdańsku czeski historyk literatury, profesor Czapek, znalazł tu unikat czeskich psalmów z szesnastego wieku.

Wizyty zagranicznych gości nie są tu rzadkością. A jeszcze częściej jest korespondencja z zagranicą. Prawie zawsze w wyniku takiej korespondencji do biblioteki naukowej w Gdańsku przybywa fotograf uzbrojony w mikroaparat i systemem filmu taśmowego sporządza zdjęcia poszczególnych stron cennego starodruku. Zdjęcia wysyłane są później za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które też przeprowadza międzykrajowe rozliczenia.

Każda z dużych bibliotek wyposażona bywa zazwyczaj w aparat do wyświetlania takich mikrofilmów na specjalnym ekranie i w kartotekę tychże filmowych druków.

Biblioteka Gdańska, niestety, nie ma jeszcze takich urządzeń, ale nie można zapominać, że nie jest to księgozbiór państwowy, lecz biblioteka

miejska, subwencjonowana przez Zarząd Miejski zniszczonego Gdańska.

— W granicach swoich możliwości — stwierdza kierownictwo biblioteki — Zarząd Miejski robi i tak bardzo wiele.

Niemniej jednak biblioteka ma jeszcze dużo potrzeb, przede wszystkim lokalowych. Od początku swego istnienia zmieniała ona już trzy razy swoją siedzibę. Przez dwa wieki z górą mieściła się w budynku poklasztoru Franciszkanów, w r. 1819-tym przeniesiona została do kościoła Kapucynów, od 1904-go roku zaś mieści się w obecnym lokalu niedaleko Archiwum. Jest tu jednak przerażająco ciasno. W małych pokoikach siedzi po pięć — sześć osób; książki występują ze ścian, zalegają wielkimi pakami podłogi, tłoczą się i rozpychają, zabierając miejsce ludziom. Wskutek tego sala podręcznej biblioteki ma tylko trzydzieści dwa miejsca, gabinet rycin i pokój wydawnictw są zatłoczone, w magazynach zaś półki uginają się pod ciężarem książek.

Ostatnio Bibliotece Gdańskiej przybył bardzo okazały księgozbiór Braniczkich i Tarnowskich z Suchej, przydzielony przez Ministerstwo w ramach rozdziału bibliotek podworskich.

Personel biblioteki postawił sobie za punkt honoru, aby książki te przez dziesiątki lat trzymane w zamknięciu uprzyścipleni jak najprędzej szerokiej publiczności i zmobilizowały wszystkie siły skatalogowano sześć tysięcy osiemset trzydzieści sześć tomów w przeciągu czterech tygodni.

— To jest nasz bibliotekarski „szybkościowiec“ — mówi szeptem kustosz biblioteki.

Szeptem nie dlatego, aby to była tajemnica, przeciwnie o tym niewątpliwie wyciwnie personelu Biblioteki Gdańskiej należy mówić jak najgłośniej, ale szeptem dlatego, że znajdujemy się w tej chwili w bibliotece podręcznej, gdzie obowiązuje cisza.

Pochyleni w skupieniu nad książkami czytelnicy pilnie studiują. W głębokiej ciszy tej sali słychać tylko szelest przewracanych kartek i lekki

stuk ołówków. Jest tu około dwudziestu osób. Tyle zresztą bywa codziennie.

Jedynie w okresach egzaminów frekwencja w bibliotece gwałtownie wzrasta. Zarówno uczniowie, jak i młodzież akademicka, przypominają sobie wtedy, że tu jest niewyczerpane źródło wszelkiej wiedzy i że w książkach tu zebranych można znaleźć odpowiedź na każde pytanie, trzeba jedynie umieć czytać.

Przed zabłąkaniem się w labiryncie ksiąg strzeże kustosz biblioteki. On to udziela czytelnikom wszelkich wskazówek, pokazuje, jak korzystać z licznych katalogów, informuje o literaturze przedmiotu, pomaga wyszukiwać potrzebne źródła pomocnicze.

Biblioteka pomocnicza liczy ponad dwa tysiące trzysta tomów, zgrupowanych w jedenastu działach, przy czym na honorowym miejscu stoją sprawy Gdańska i Pomorza objęte działem pierwszym.

Ciekawe światło na skład czytelników, korzystających z biblioteki i wypożyczalni rzucają cyfry statystyczne.

Wśród właścicieli kart bibliotecznych przeważa naturalnie młodzież szkolna i akademicka — 677 osób, później gwałtowny skok w dół — i nauczycielstwo — 140 osób; urzędnicy prywatni i samorządowi — 94 osoby i robotnicy — tylko 23. Najbardziej do starych murów biblioteki zaglądały rolnicy. Przy tym zawoździe stoi cyfra — 3.

W bibliotece podręcznej mieszczą się również czasopisma. Część leży na półkach, inne można zamówić z magazynu. Krajowych pism jest ponad 250, zagranicznych około dwustu. W spisie czasopism obecnych figuruje nawet jedno pismo... chińskie „Philobiblon“. Ale... nie ma czytelników.

Wspaniałe zbiory Biblioteki Naukowej w Gdańsku, tak wysoko cenione przez zagranicę, przebogaty wybór muzykologów, bezcenny jedyny w Polsce zbiór map i atlasów i rzadkie starodruki są nie tylko chlubą Gdańska, ale skarbcem, z którego może i powinna czerpać cała Polska.

Eugenia Kochanowska-Wiśniewska

Zygmunt Kubiak

O POWIEŚCI HISTORYCZNEJ

(Z okazji drugiego wydania „Wybrańców Gwiazd“)

1.

Jedną z cech powojennej literatury katolickiej w Polsce jest duży procent powieści historycznych. Ten fakt omawiali już niejednokrotnie krytycy — i nie zawsze z zadowoleniem. Podejrzewali tu pewien brak chęci bezpośredniego ingerowania w problematykę współczesną, a więc — swojego rodzaju ucieczkę od współczesności.

Zdaje się, że takie podejrzewania opierają się na pewnym fałszywym uproszczeniu. W rzeczywistości powieść w ogóle, a powieść historyczna w szczególności — jest zjawiskiem bardzo różnorodnym i nie dającym się ująć w jakimś jednym schemacie. Stosunek powieściopisarza historycznego do odtwarzanej epoki, oraz — z drugiej strony — jego stosunek do epoki współczesnej, może się układać w bardzo rozmaity sposób. Jeśli mówimy, że istnieje bardzo wiele typów powieści historycznej, to mamy na myśli nie tylko zagadnienia formalno-kompozycyjne, ale przede wszystkim to co jest najistotniejsze — ideologię artystyczną pisarza, jego stosunek do artystycznego tworzenia.

Rzecz jasna, zwrócić się do tematyki historycznej może być wyrazem ucieczki od współczesności. Taki zarzut można było stawiać romantycznej powieści historycznej w stylu Waltera Scotta, gdzie tło historyczne stanowi najczęściej estetyczną, odrealniającą, prawie baśniową dekorację dla awanturycznej fabuły romansu. Jest rzeczą zrozumiałą, że współczesne powieściopisarstwo historyczne stoi prawie zawsze na zupełnie przeciwnym krańcu i wybór epoki historycznej nigdy nie jest przypadkowy, a jej studium ma zawsze ważki cel poznawczy.

Co stoi u źródeł tego wyboru? Co zwraca wzrok pisarza ku przeszłości? Mówi się bardzo słusznie o „szukaniu pewnych constansów historycznych, na których można opierać rozumienie całych dziejów ludzkich, a więc i epoki współczesnej“ (Z. Lichniak — „Powojenna literatura katolicka“, „Dziś i jutro“ nr 213—214). Trzeba jednak pamiętać, że epoka historyczna ma dla pisarza wartość również sama w sobie, jako fragment dziejów ludzkości, jako jeden z minionych etapów narastającej rzeczywistości naszego świata. Nie chcę być źle rozumiany. Nie mam zamiaru obciążać powieści rolą rozprawy historycznej. Ale jest faktem, że tylko powieść potrafi stworzyć prawdziwą wizję minioniej epoki.

Tak więc powieść historyczna wskazuje nie tylko „constanse“, nie tylko to, co jest wspólne całej ludzkości poprzez wszystkie epoki, ale również to, co dla każdej epoki jest specyficzne. Właśnie poprzez ukazanie stosunku tego, co niezmiennie, do tego, co zmienne i zależne od warunków zewnętrznych, — pisarz może szkicować stosunek opisywanej epoki do czasów współczesnych. Tu również otwiera się droga dla koncepcji (czy bodaj tylko sugestii) historiozoficznych, od których — choć występują one w różnym nasileniu — nie jest wolna żadna powieść historyczna z prawdziwego zdarzenia.

2.

Na rolę współczesnego katolickiego powieściopisarstwa histo-

rycznego rzuca wiele światła przede wszystkim sam wybór tematów. Uderza zbieżność pewnych tematów, uderza ciężar gatunkowy problematyki tych powieści. Znać, że pisali je ludzie, którzy żyją głęboko wszczępieni w swoją własną epokę, którzy odczuwają głęboko jej przełomowy charakter. Stąd właśnie, z tej świadomości przełomu — rodzi się potrzeba jednoczesnego wejścia w głąb, sięgnięcia do początków, do źródeł tych duchowych i materialnych potęg, które są elementami dzisiejszej rzeczywistości i aktorami dramatu dziejów. Co oznacza np. tak zwana „moda“ na epokę Bolesława Chrobrego? Jest to po prostu sięganie do źródeł państwa polskiego i kultury polskiej.

Jeszcze głębiej sięgnął Jan Dobraczyński w swoich dwóch ostatnich powieściach, „Wybrańcach gwiazd“ i „Świętym mieczu“. I jeżeli w tak niedługim czasie po ukazaniu się pierwszego wydania, otrzymaliśmy do rąk drugie wydanie powieści o proroku Jeremiaszu,* to jest to nie tylko jeszcze jednym dowodem popularności autora, ale również wyrazem siły społecznego oddziaływania ukazanej przez niego problematyki.

Powieść o „Wybrańcach gwiazd“ sięga do tego procesu historycznego, który przygotował ludzkość do mającego się objąć chrześcijaństwa. Tym procesem jest religijne posłannictwo starożytnego Izraela, ucieleśnione tu w postaci Jeremiasza. Wielu krytyków zwracało uwagę na zagadnienia polityczne w tej powieści (problem realizmu politycznego, problem władcy). Wszystko to prawda, — powieści Dobraczyńskiego są rzeczywistością — jak to nieraz zauważono — aż napełniające od problematyki. Ale zasadniczym problemem „Wybrańców“ jest Jeremiasz jako prorok. Jeśli więc chcemy już mówić o tematyce politycznej, to będzie to pewien specjalny aspekt polityki, polityki ujętej w zależności od przebiegającego przez całe dzieje ludzkości wielkiego dramatu duchowego, dramatu ludzkości szukającej Boga; można by to nazwać metafizycznym aspektem polityki.

Z tego samego punktu widzenia ukazana jest również działalność innych „wybrańców gwiazd“, tzn. ludzi, którzy z wyroku i według planu Opatrzności, czasem nawet wbrew własnej woli, spełniają swą rolę w rozwoju dziejów (Elmadam, Jozjasz, Nabuchodonozor). Takie ujęcie ma spe- cjalnie głęboki sens i głębokie uzasadnienie w odniesieniu do dziejów starożytnego Izraela, narodu wybranego.

Wybór postaci Jeremiasza na centralny problem powieści biblijnej był niezwykle szczęśliwy. Ten najtragiczniejszy z proroków doskonale ucieleśnia tragizm i wielkość tego, co się nazywa „duchem prorockim“ w Starym Testamencie. Jest rzeczą niewątpliwą, że z całego skarbca Starego Testamentu najsilniej przemawiają do nas prorocy. Prorocy byli doniosłym etapem w narastaniu świadomości religii objawionej. Ich

*) Jan Dobraczyński — Wybrańcy Gwiazd, powieść, drugie wydanie. Księgarnia Z. Gustowskiego w Poznaniu, 1949.

posłannictwo religijne łączyło się ściśle z walką o sprawiedliwość społeczną („Il n'y aurait jamais eu de socialisme sur la terre si ces fanatiques d'equite n'avaient pousse leurs cris de protestation“ — pisze Daniel Rops w swojej „Histoire Sainte“).

Jeremiasz w powieści Dobraczyńskiego wyrasta wobec swojego narodu jako prorok Boga, dla którego czyste serce jest ważniejsze niż zewnętrzny rytuał. Jeremiasz tęskni do Wcielenia, do tego pełniejszego objawienia się boskości, które on przeczuwa i którego szuka w wyrokach gwiazd. Jednocześnie musi piętnować grzechy swojego narodu i wróżyć mu nieszczęścia. Buntuje się wielokrotnie przeciw temu posłannictwu. Ucieka przed Głosem który na niego zstępuje. Ale wreszcie poddaje mu się w pokorze, aby dalej nie zaznać spokoju, dalej młotać się wśród cierpień. Fragmenty powieści opisujące zmagania Jeremiasza z Głosem, to może najlepsze stroniczki z całej twórczości Dobraczyńskiego.

Zauważono słusznie, że Dobraczyński w Jeremiaszu wybrał sobie postać, przez którą mógł wypowiedzieć się dowoli. Przez połączenie zagadnień religijnych i społecznych posłannictwo tego proroka oddzielonego od nas tyłoma wiekami staje się dla nas niesłychanie bliskie, gdy słyszymy w jego słowach i w jego życiu tony podobne do namiętnych walk wielkich inkwizytorów współczesnych społeczeństw katolickich, Leona Bloy, Bernanosa Papiniego. W ten sposób powieść historyczna staje się powieścią aktualną, bynajmniej nie przez sztuczną aktualizację, ale przez dotarcie do spraw wiecznie aktualnych. Wydaje mi się, że największą zasługą Dobraczyńskiego jest to, iż potrafi on pasjonować czytelników problematyką ideologiczną, że za jego sprawą zagadnienia konfliktów duchowych stają się przedmiotem dyskusji również w tych środowiskach społecznych, do których problematyka intelektualna dociera najtrudniej.

3.

Tu chciałbym nawrócić do rozważań zawartych w pierwszej części tego artykułu. Jaki w powieści Dobraczyńskiego zachodzi stosunek między szukaniem constansów historycznych a ukazywaniem specyficznych cech minioniej epoki? Irena Sławińska w swoim artykule „Pisarstwo Jana Dobraczyńskiego“ (Dziś i jutro nr. 190) pisze: „Wydaje się, że dla Dobraczyńskiego niemożliwa jest postawa obiektywnej obserwacji, bezinteresownego poznania pewnej epoki historycznej — przeszłość służy mu raczej jako materiał ilu stracyjny dla tez aktualnie ważnych i gorących, które transportuje wstecz“.

Uwaga ta jest bardzo trafna jako uchwycenie dominanty w postawie pisarza, ale trzeba pamiętać, że te dwie pasje — pasja aktualizatora i pasja badacza przeszłości — nie muszą się ze sobą kłócić. Mówiliśmy już o obfitości problematyki w powieściach Dobraczyńskiego. Wydaje się, że wadą towarzyszącą tej zalecie jest właśnie błąd błędów artystycznych, które krytycy wytykali pisarzowi, błędów — nota bene — coraz bardziej przewidywanych. Typowym przykładem są tzw. encyklopedycz-

my, które bardzo trafnie wydobyl ze „Świętego miecza“ Zygmunt Lichniak, — tzn. zbędne artystycznie wręty erudycyjne, materiały historyczne podane „na surowo“. Całe szczęście, że w „Wybrańcach gwiazd“ ta pasja erudycyjna znalazła inny wyraz: encyklopedyzmów prawie nie ma, a materiał erudycyjny podany jest najczęściej w formie uzasadnionej artystycznie (np. bardzo dobry fragment o historii Arki Przymierza, podany w momencie wykradania jej przez Jeremiasza).

Przed wszystkim jednak materiał zdobyty przez autora został wyzyskany do odmalowania tła epoki i kolorytu lokalnego Palestyny. Każdy zdaje sobie sprawę z tego, jak trudne jest pisanie powieści o tak odległym i obcym nam środowisku kulturowym. Pa miętanie o specyficznościach obyczaju, stroju, typu myślenia itp. obowiązuje pisarza na każdym kroku; na każdym słowie, na każdym geście bohatera można się fatalnie potknąć.

Jak podołał swemu zadaniu Dobraczyński? My możemy tylko stwierdzić, że obraz epoki narysowany przez niego jest prawie zawsze sugestywny i wewnętrznie spójny. Że odpowiada on jednocześnie obiektywnej prawdzie historycznej ustalonej przez badaczy, o tym uszyliśmy od kogoś w tej sprawie bardzo kompetentnego, ks. prof. Eugeniusza Dąbrowskiego (por. jego recenzja w Tygodniku Powszechnym nr 168).

4.

Na czym polega mechanizm stwarzania wizji minioniej epoki w powieści historycznej? Mamy ochotę zajrzeć do kuchni artystycznej pisarza i popatrzeć mu na ręce.

Antoni Gołubiew w swoim artykule o „Srebrnych Orłach“ Teodora Parnickiego ma niewątpliwie słuszną, gdy pisze, że zasadniczym zadaniem powieściopisarza historycznego jako takiego, jest stwarzanie „sugestii dawności“. Chodzi o to, aby wejść niejako „w skórę“ człowieka opisywanej epoki i jego oczyma patrzeć na świat. Gołubiew kładzie nacisk na najgłębsze elementy tego historycznego widzenia świata, na to, „jak człowiek dawnej epoki widział świat, jak reagował, jak myślał i czuł, co go interesowało, co pobudzało go do działania“. Chodzi tu więc przede wszystkim o archaizmy najbardziej ukryte, a jednocześnie najistotniejsze. Warto pamiętać o tym, że istnieją warstwy archaizacji, odpowiadające warstwom substancji artystycznej dzieła literackiego.

Najbardziej zewnętrzną warstwę archaizacji stanowi stylizacja języka. Temat „Wybrańców gwiazd“ stworzył jednak dla tego problemu zupełnie specjalną sytuację. O archaizacji języka we właściwym tego słowa znaczeniu nie mogło tu być mowy; bo przecież nasz tradycyjny język biblijny nie mógł służyć autorowi za wzór dla dialogów powieści! Wymagania nasze muszą ograniczać się do zachowania pewnych pojęć charakterystycznych dla mentalności starożytnych Żydów oraz do unikania wyrażań nadzbyt — w naszym odczuwaniu — współczesnych i burzących ową „sugestię dawności“. Otóż trzeba stwierdzić, że Dobraczyński na ogół trafnie rozwiązał ten problem. Język po-

wieści jest bardzo żywy i bezpośredni, a jednocześnie — za nielicznymi wyjątkami (np. stanowczo wolelibyśmy, żeby Nabuchodonozor obserwując Żydów nie nazywał ich w myśli „spryciarzami“, str. 164) — nie kłóci się z duchem przedstawionej epoki i zamieszczone w tekście fragmenty proroców Jeremiasza są zharmonizowane z tonacją dialogów i narracji.

Zwróćmy się teraz do głębszych warstw substancji artystycznej. Tu głównym przedmiotem naszego zainteresowania jest charakterystyka bohaterów, a przede wszystkim — sam Jeremiasz. Postać proroka jest pod wieloma względami pokrewna sylwetce Pawła, narysowanej w „Świętym mieczu“, ale wydaje mi się że jako kreacja artystyczna stoi wyżej. Jeremiasz jest dla nas przy całej swojej tajemniczości bardziej uchwytny, czujemy, że został ujęty bardziej syntetycznie.

Może zresztą zagadnienie stosunku tych dwóch kreacji Dobraczyńskiego trzeba rozpatrywać nie tylko na płaszczyźnie artystycznej. Może rzeczą zasadniczą jest tu różność samych postaci. Chodzi mi nie tylko o to, że o Jeremiaszu na podstawie Biblii wiemy mniej niż o Pawle, którego listy otwierają nam drogę aż do psychoanalizy, — i skutkiem tego autor mający większą swobodę fikcji może łatwiej syntetyzować. Chodzi o to, że Jeremiasz będąc postacią Starego Testamentu należy do tego klimatu dziejowego, gdzie ludzie łatwiej mogli stawać się symbolami. Paweł stoi u wrót nowego świata i jego listy wróżą ewolucję ku „Wyznaniom“ św. Augustyna, a poprzez „Wyznania“ — ku współczesnej powieści psychologicznej. Ta różnica nie polega na różnicy gatunków literackich, różnicy między mowami pro rockimi a listami apostołskimi, między narracją Starego Testamentu a narracją Dziejów Apostołów. Biblia, kreśląc postacie Abrahama, Mojżesza, Jeremiasza, — nie posługuje się tylko konwencją literacką, ale odtwarza rzeczywisty obraz ówczesnego życia, nasyconego symbolizmem, od bywającego się jeszcze w cieniu objawień Boga, który do dziecięcego wieku ludzkości przemawiał myślowym, łatwo uchwytym alfabetem symbolów, również ludzi — symbolów.

Mieczysław Kurzyna, pisząc o powieści Dobraczyńskiego („Czy rozumiem Dobraczyńskiego?“ Dziś i jutro nr 135), bardzo słusznie zauważył, że sylwetki „wybrańców gwiazd“ są na ogół jednowymiarowe. „Nie jest to zresztą wadą. — pisał Kurzyna — Bohaterowie służą autorowi „Wybrańców“ dla zobrazowania nie tyle subtelnych drgnień duszy, ile przejawów w człowieku myśli i spraw transcendentnych. Nawet Jeremiasz, choć wyposażony w ludzkie słabości, jest przede wszystkim symbolem. Zachowując porcję, można by powiedzieć, że natura jego podobna jest do postaci tragiczków greckich przed Eurypidesem“.

Może byłoby niesłuszne tłumaczyć ten fakt tylko na płaszczyźnie jakichś anty-psychologicznych skłonności autora. Zdaje się, że w tym wypadku mamy do czynienia z bardzo trafną intuicją artystyczną (dokończenie na str. 10-jej)

Jan Dobraczyński

LEGAT PAPIESKI

(Fragment powieści)

W suchym, rozpalonym, zamarym w bezruchu powietrzu dzwony zaczęły bić na sextę. Ich głosy przychodziły z rozmaitych stron miasta, potem jednak zlały się w jeden dźwięk, który zdawał się spadać z góry, na podobieństwo szklanego deszczu. Ojciec Tomasz Agni de Lentino oderwał się od okna, przez które patrzył na błękitną zatokę, i od swych myśli, które były daleko. Zsunawszy z głowy kaptur, zaczął się modlić: „Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum...“ Z tą modlitwą zdawało mu się, że znowu wrócił do Rzymu, że nie słyszy dzwonów z katedry św. Andrzeja, z kościołów św. Marka, św. Jana, św. Dionizego, św. Sarkisa — ale, że to się rozlega ciężki grzmot dzwonów od św. Jana na Lateranie, którym wtóruje, niby echo, spiżowy dźwięk od kościoła Matki Bożej Większej. „Et benedictus Fructus ventris Tui, Jesus...“ Suche palce zakonnika, obejmujące złożone dłonie, zacisnęły się mocniej, między brwiami ukazała się głęboka zmarszczka. „Santa Maria, Mater Dei...“ Teraz nie dzwoniły mu już kościoły rzymskie ale wykładana mozaikami, na dawnych marmurach Maksymiliana wzniesiona mediolańska świątynia św. Wawrzyńca. Tomasz długie lata chodził lombardzkimi drogami, wiele razy zatrzymywał się w małych, podgórszych osadach, by mówić tamtejszym ludziom nauki, mające im wrócić prawdziwą wiarę. Nieraz zdarzało mu się także zasiadać w trybunałach przed które sprowadzano ludzi oskarżonych o wyznawanie grzesznej religii Gazzarich. Słuchał ich zeznań, myśląc o tym, że w tym samym czasie rozsądza błędy heretyków najdroższy przyjaciel, brat Piotr z Werony. To on był przecież inkwizytorem generalnym na całą Lombardię, aż do dnia, gdy zginął, zamordowany skrytobójczo przez ściganych przez siebie heretyków na drodze z Como do Mediolanu. „Et in horam mortis nostrae...“ — Panno Święta — myślał zawsze, wymawiając te słowa — tak umrzeć jak Piotr; umrzeć powalony, przeбитo wielu nożami, w kałuży krwi, w której jednak ręka zdolna jest umoczyć palec i napisać na cembrowinie studni obok: credo.. Tomasz znalazł ten napis w wiele dni po zabójstwie; ukłękł

Sp. wyd. „Pax“, Inst. Wyd. wysyła

G. BERNANOS
POD SŁOŃCEM
SZATANA

cena 950 zł

B. MARSCHALL
CHWAŁA CORY
KRÓLEWSKIEJ

cena 750 zł

TEKĘ DRZEWORYTÓW
„OJCZE NASZ“

K. WRÓBLEWSKIEJ

cena 1200 zł

Po wpłacie na KONTO PKO
I - 8515

SP. WYD. „PAX“ INST. WYD.

i ucałował go ze czcią. Nie wątpił w słuszność decyzji, która jego przyjaciela, zaledwie w rok po śmierci, wprowadziła do grona świętych. Znał dobrze tęsknoty jego serca; także tęsknotę, która go stała zaspokojona. Wyobrażał sobie, że ta sama tęsknota jest w nim. Ale gdy w parę lat później, w Neapolu, zaraz po wyborze Aleksandra, usłyszał propozycję wyjazdu — poczuł jak mu piersi ogarnia chłód zamierania. To było coś zgoła innego — myśleć: chciałbym tak umrzeć — a nagle, pewnego dnia, opuścić stały ład, odpłynąć na ostatni skrawek ziemi, zagrożony klęskami Apokalipsy. Stojąc na zawieszonym nad wodą krążanku Castell dell'Ovo, mając przed sobą omroczone mgłą zatokę z dwugarbem Capri w pośrodku i dymiącą górę z lewa — powiedział nieco drżącym głosem: „Wasza Świętobliwość, wasz poprzednik zdecydował, by żaden z braci predykatów nie sięgał do godności kościelnych!“ Ale Aleksander poruszył tylko lekceważącą ręką. On tu decyduje — nie kto inny. Wybór, który dokonał się tak szybko, w atmosferze popłochu przed zbliżającym się Manfredem, — padł na jedynego czło wieka gotowego stawić czoło ciężkiej sytuacji. Kardynał Ra'nold książę Segni, biskup ostyjski, nie należał do ludzi, których powstrzymują drobne wątpliwości. „Jedź — powiedział, kładąc Tomaszowi, po przyjacielsku, rękę na ramieniu. — Posłałem im tam Pantaleona. Ale Jakub jest stary i myślę, że nie da sobie rady. A tam nie jest łatwo, wierz mi. Z jednej strony Saraceni, rozczuchwani zwycięstwem nad Ludwikiem, z drugiej — ci przekleci Tartarzy. Jedź, dodaj im ducha. Powiedz, że o nich pamiętam. Mo że mi się uda zebrać jakąś krucją tę. Żebym tylko poskromił tego bękart! — wyciągnął zacisniętą pięść w stronę południa, skąd od Nocery, mógł w każdej chwili nadejść Manfred na czele Saracenów ojca. — Ale, prawdę mówiąc, to obawiam się o los tej resztki królestwa...“ „Czy jednak ja... — zaczął znowu Tomasz. — Tak wielka godność...“ „No, no, mój drogi — przerwał mu papież — skoro ja cię wybrałem... Możesz nie mieć skrupułów“. Jeszcze raz poklepał go po ramieniu, po czym odszedł w głąb zamku, a grube frydrycjańskie mury odpowiadały echem na jego energiczne kroki. Tomasz został sam ze swoją godnością i ze swoim lękiem.

Genueski okręt przywiózł go tutaj poprzedniego dnia. Łańcuch z chrzestem zanurzał się w wodę, otwierając wejście do portu. Jakiś człowiek wychylił się z okna wieży Much, stojącej na skraju mola i zawołał po włosku:

— Hej, capitano, wysiadaj ostrożnie. Wasi znowu dostali...

Genueszyk podniósł na tamtego gniewny wzrok znad steru: nie był pewny czy człowiek drwi czy też naprawdę ostrzega. Potem rozejrzał się po porcie. Już stąd widać było porozwalane domy i okopane mury. Marynarze, stojąc u burty, pokazywali sobie palcami zrujnowane miasto. Cała dzielnica nadmorska leżała w gruzach. Tomasz patrzył także i czuł niemile ukłucie w piersiach: więc Saraceni wdzierają się nawet poza mury Acre...?

— Per Bacco! — kłął kapitan. Wydał rozkaz swoim ludziom, by się uzbrowili. Zmierzała na południowy koniec wybrzeża. Płynąc wzdłuż portu, widzieli coraz więcej porozwalanych domów i dokonanych zniszczeń. Dalej od brzegu z wysokiego wzgórza panował stary klasztor; nad nim zwiślała bezsilnie w upalnym, omdlałym od żaru powietrzu, złotopurpurowa flaga św. Marka. — Per Bacco! — zaklął znowu. Zaciśkając pięści, burknął: — Ścierwa! Nieskrobane było! Żeby ich zaraza!

Wsiadłszy na ład brat Tomasz — a w tej chwili także legat ojca świętego i tytularny biskup Bettelem — rozglądał się ciekawie na okół. Miasto wyglądało jakby się w nim niedawno toczyły ciężkie walki, w czasie których każdy dom przechodzi kolejno z rąk do rąk. Ludzie, którzy wyszli im na przeciw, a teraz pomagali niemrawo w przycumowaniu okrętu, robili wrazenie inwalidów. Niektórzy mieli ręce na temblakach, inni obandażowane głowy lub szyje. Krzykliwie odpowiadali z brzegu na zapytania marynarzy. Ale dwaj dominikanie (brat Jan był towarzyszem Tomasza) — nie słuchali ich. Nie mogli oderwać oczu od ruin. Nie całe jednak miasto było zniszczone: Za zburzonymi dzielnicami małych domków widać było nietknięte wielkie zamki i dwory. Potężny budynek stał nad samą wodą, tuż obok okopconych ruin, sam nietknięty, wspaniały, dumny i groźny.

Mały braciszek franciszkański, widać wędrujący po kweście, nawinął się im pod rękę. Szedł z workiem pod pachą, podśpiewując wcale nie żałośnie.

— Laudetur Jesus Christus — powitał go Tomasz. — Witaj, bracie...

— Maryja! — odpowiedział tamten. Zatrzymał się przed dominikanami, z gapiowatym wyrazem twarzy. — Witajcie, bracia — powiedział i podrapał się w nos.

— Przybywamy prosto z Italii — zaczął Tomasz — nie znamy miasta. Wskaż nam, bracie, nasz dom zakonny.

— A, o, tam, widzicie? — pokazał palcem. Szeroki rękaw opadł, ukazując chudą, ciemną rękę. — Widać, żeście dopiero przyjechali — powiedział na poły naiwnie, na poły złośliwie.

— Dziękuję, bracie. Bóg ci zapłać! — Wolno, wciąż rozglądając się, ruszyli we wskazanym kierunku. Franciszkanin stał z otwartymi ustami, patrząc za nimi. Zrobiwszy kilka kroków, Tomasz zatrzymał się i obejrzał. Powiedz nam jeszcze, bracie — zapytał — skąd te zniszczenia? Kiedy to Saraceni na was napadli?

Mały braciszek uśmiechnął się znowu, tym samym naiwnym lecz nie pozbawionym ironii uśmiechem. Powtórzył:

— Widać, żeście dopiero przyjechali. To Wenecjanie bili się z Genueszykami. Trzy tygodnie loili sobie skórę, a kiedy pół miasta zburzyli, to zawarli pokój. Ale pobijają się znowu, tylko patrzeć...

— Wenecjanie z Genueszykami... — powtórzył mechanicznie Tomasz. Niepokój, jaki się zabrał do jego serca, odszedł, a jego miejsce zajęło zdumienie. — Wenecjanie z Genueszykami... — szepnął raz jeszcze. To dziwne, pomyślał, wydaję mi się, jakbym ciągle jeszcze był w Italii...

**

„Użycz, Boże miłosierny, osłony dla ułomności naszej, abysmy, którzy czcimy pamięć Boga Rodzicielki, dzięki Jej orędownictwu, powstać mogli z nieprawości naszych...“ Biskup Tomasz zakończył swoje modlitwy. Dzwony tak że przestały bić. Upał wisiał po staremu w powietrzu: nad zatoką polatywały białe mewy. Dominikanie wsparł głowę na rękę i zamyslił się. Inaczej wyobrażał sobie pobyt tutaj. Gdy płynął, wydawało mu się, że płynie na straconą pozycję, z której można tylko uciec — lub znaleźć na niej śmierć męczeńską, jeśli kto bardzo tego męczeństwa pragnie. Tymczasem pokój, niezrozumiały dla niego, panował w tutejszej atmosferze. Arabskie karawany wchodziły, jak gdyby nigdy nic, do miasta i rozkładały swoje towary na rynku. Nie bez zdumienia Tomasz słyszał asr śpiewany z wierzby meczetu przy Wolim źródle i z drugiego, znajdującym się przy kościele św. Krzyża. O Tartarach nikt tutaj nie myślał: wydawało się, że są o wiele dalej, niż to można było przypuszczać, patrząc z Neapolu. Nie było nic takiego w powietrzu, co by mówiło, że miasto jutro — pojutrze może wpaść w ręce wroga.

Jeśli jednak nad miastem wisiała atmosfera pokoju, nie było go w samym mieście. Walka Wenecjan z Genueszykami wybuchła z nową siłą po kilkuletniej przerwie. Przez ostatnie trzy tygodnie przedstawiciel obu republik niszczyli wzajemnie swoje dzielnice. Ale Tomasz wiedział, że to nie jest wszystko. Trosk było więcej i zdawały się one rosnać z każdą godziną. Biskupowi miasta, które go nie miało nadziei nigdy zobaczyć, wydawało się, iż jeszcze nie widzi pełnego obrazu rzeczywistości.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł jeden z braci, by powiedzieć, że przyjechali dwaj dostojni goście: — Książę Antiochii, ojciec, i sir Ibelin, pan Jaffy...

— Poproś ich tutaj, bracie.

Przybywszy weszli. Wydawali się zaprzeczeniem siebie: Bohemund był młody, prawie chłopiec, Ibelin stary a wydawał się jeszcze starszy ze względu na swe ruchy powolne, nacechowane dostojnością. Piękna twarz księcia Antiochii odbijała także od zaszuszonej, można powiedzieć zaskorupiałej w bezruchu, twarzy pana z Jaffy.

— Niech Pan będzie z wami, dostojni panowie — witał ich Tomasz.

— Schylili się do jego ręki — był przecież legatem Ojca Świętego. Potem zasiedli na ciężkich, dębowych fotelach, o wysokich, rzeźbionych oparciach.

— Ojciec Święty przesyła wam, książę, swe pozdrowienia i błogosławieństwo — Lentino zwrócił się do Bohemunda. — Pozdrowia także waszą matkę, księżną Łucję, a swoją kuzynkę, oraz jej brata Pawła, biskupa Tripoli...

Książę Antiochii skłonił grzecznie głowę. Tomasz już wiedział, że między matką a synem stosunki były naprężone. Ambitna Rzymianka zbyt długo chciała syna trzymać pod swym fartuskiem. W końcu nastąpić musiał podział władzy: księżna-wdowa odsunęła się do Tripoli, pozostawiając synowi Antiochię w niepodzielne władanie.

— Wam także, rycerzu Ibelinie — zwrócił się do pana Jaffy — je-

go świętobliwość przesyła swe ojcowskie błogosławieństwo. Jesteś cie regentem królestwa, prawda?

— Nie, to nie ja, to mój kuzyn — odpowiedział. Mówił odpowiednio do swego wyglądu: z ledwo rozchylonych ust padały słowa, niby uderzenia młotka, suche, urywane, pełne przerosłej godności. Z wyczerpującą dokładnością przedstawił rozgalezione linie pokrewieństwa w rodzinie Ibelinów. — Regentem jest sir Jan Ibelin z Arsuf, młodszy syn sir Jana z Beyrutu. Moim ojcem był sir Filip nigdy regent królestwa Cypru... Ja sam byłem tutaj regentem, zanim przekazałem tę godność kuzynowi... — Odchylił głowę do tyłu, nastroszył brwi. — Odbłyło się to zgodnie z prawami królestwa — dorzucił.

— Mówiono mi — Tomasz przy pomnił sobie, — że regent jest chory.

— Ciężko chory. Umiera.

— A któż pełni jego powinności?

Stary Ibelin rozsunął kolana, wsparł na nich swe zwiotczałe, jakby już nie rycerskie dłonie.

— Jeśli nie ma rodziców panującego, prawo żąda aby było dwóch regentów. U nas drugim regentem jest rycerz de Sargines, którego nam zostawił król Ludwik... Ale rycerz de Sargines jest wśród nas obcy. Nie mamy nie przeciwko niemu: dzielny i ofiarny. Ale nietutejszy! My, „pullanie“?

— Jak powiedzieliście, sir? „Pullanie“?

— „Tak. Tak nas nazywają przybysze z Europy. — Zasmiał się, jakby zaskrzypiał pulpit. — Że to niby cielętami, baranami się zajmujemy... Nie uchybia to czci rycerskiej, ani osłabia odwagi. Odwaga i rozsądek mogą iść ze sobą w parze... — Oczywiście, oczywiście — przyznał Tomasz; nie bardzo jeszcze rozumiał o czym chce mówić pan z Jaffy.

— My, „pullanie“ — podjął Ibelin, — chcemy mieć władcę spośród swoich. Nie przybysza, który się na niczym nie rozumie. Widziliśmy już takich, co napadali kupieckie karawany pod bramami miasta lub palili wsie na obszarze królestwa, dlatego, że tamtejsza ludność czciła Mahometa! Sargines, dobry rycerz, nauczył się już wiele... To prawda. Lecz potrzebny nam jest władca. Od Jana de Brienne jesteśmy bez króla...

Tomasz popatrzył uważnie po swych gościach. Sądził, że przybyli, by go po prostu powitać. Z rozmowy jednak poczynił rozumieć, iż przynieśli tu, do niego jakąś wielką sprawę królestwa.

— Proszę was, panie, wytłumaczcie mi wszystko.

Lewa ręka pana z Jaffy leżała na płaszczu, prawa wykonywała spokojne lecz wymowne gesty. Na jego twarzy była nieskończona pewność siebie oraz niedbałość w rozrzucaaniu okrucich swej wiedzy.

— Przez księżniczkę Jolanę tron przeszedł na cesarza Frydryka...

Sucha dłoń zamknęła się nagle: zacisnęła mocno, niby pod wpływem obudzonego uczucia. Tomasz, przytwardzając im, skinął głową. Pojmował nienawiść jaką budziło w ludziach samo wspomnienie człowieka zmarłego przed dziewięć laty. Był zagadką dla swej

epoki — stupor mundi — zagadką, którą można było jedynie uwiebiać lub nienawidzić. Tomasz miał zawsze w pamięci lata, gdy cała Italia żyła w trwodze przed cesarzem. Uważano go za czarownika, człowieka, który ma szatana na usługi. Przecież to Fryderyk palił ludzi oskarżonych o herezję rękami swej straży saraceńskiej! Dominikanin nie mógł zapomnieć ujranej niegdyś lisiej twarzy i szemrzącego głosiku, który przechodził najnieoczekiwanej w historyczny skowyt. W życiu Kościoła te czterdzieści lat było jak otwarta rana, wciąż nie mogąca się zasklepić.

— Cesarz koronował się sam w bazylice Grobu Pańskiego... — ciągnął Ibelin tonem sławnego magistra. — Potem odpłynął. Walczyliśmy z jego wodzem Filanghierim i gdyby nie mój stryj, stary pan z Beyrutu, wolność królestwa byłaby zdławiona przez włoskich kondotierów!

W tych słowach była duma i olbrzymie poczucie łączności z rodem, który „ocalił wolność królestwa“. Biskup Betlejemski ciągle nie wiedział, czego od niego oczekują dostojni goście.

— Czas najwyższy, aby został wybrany senior królestwa. Księga naszych praw pozwala uczynić to lennikom pierwszego i drugiego stopnia oraz przedstawicielom Konfraterni św. Andrzeja. I nikt tego wyboru nie potrzebuje zatwierdzać...

— Jeżeli tak mówią prawa...

— Tak mówią — Ibelin potwierdził to głosem nie znośnym najłżejszej wątpliwości. — Mamy jednak w królestwie lennika, który się wyrzekł swych obowiązków...

— Książę Filip de Monfort! — powiedział żywo Bohemund.

— Nie będziemy się wypierali, że jego matka pochodziła z Ibelinów — zauważył pan z Jaffy takim tonem, jakby ta wiadomość była niezmiernie ważna, — lecz książę de Monfort pozostał wśród nas przybyszem. Nie szanuje praw! Nie chce złożyć należnego hołdu z Toronu, który był od samego początku jednym z czterech głównych lenn królestwa!

— To rzeczywiście przykre — powiedział biskup aby coś powiedzieć. Czy można uznać rację przeciwko komuś, kogo nie ma, chociażby tę rację przedstawiał człowiek o tak niezachwianej pewności siebie jak pan z Jaffy? — Powinno lenna jest świętym obowiązkiem wasala. Gdyby tej powinności zabrakło, społeczeństwo przestałoby istnieć... — Powiedział to dobitnie jak z ambon. Nieraz tak już mówił: w chaosie wiele lat trwającej walki z ce-

sarzem, coraz częściej pękały szwy hierarchii feudalnej. — Czy myślicie, panowie, że książę de Monfort zechce sprzeciwić się wyborowi seniora królestwa?

— Na pewno! — wybuchnął Bohemund. — To chytry lis! Sprzeciwić się będzie tak długo, by w końcu wypchnąć się samemu na regenta...

Aha — pomyślał dominikanin. Nareszcie zrozumiał o co chodzi. Więc były dwie partie walczące o władzę. Tak samo jak we Florencji, Pizie, Sienie, Rzymie...

— A kogoż wy, panowie, wysuwacie na regenta, gdyby rzeczywiście wasz kuzyn, panie, miał umrzeć?

Bez pośpiechu Ibelin podjął swój wykład. Królestwo Jerozolimskie — wywiódł — związane jest ściśle z królestwem Cypru. Od czasów króla Amalryka oba królestwa miały jednego władcę. Byłoby rzeczą wskazaną powrócić do dawnego obyczaju. Jeśli nawet niepodobiestwem jest, ze względu na prawa królestwa, ukoronować dziś króla Hugona koroną Grobu Pańskiego, należy go jak najszybciej powołać na seniora królestwa.

— Król Hugo jest dzieckiem... — zauważył legat.

— Tak — przyznał pan z Jaffy, — lecz władzę w jego imieniu sprawuje królowa Plezencja, siostra księcia Bohemunda. Mogła by tę władzę pełnić dla obu królestw...

— Rozumiem — Tomasz skinął głową. Lecz równocześnie powstało w nim tysiące wątpliwości. W tej fortecy, zagrożonej niebezpieczeństwami całego Wschodu, władczynią miała być młoda, przystojna kobieta. Słyszał o niej dziś rano od arcybiskupa-patriarchy. „Bawi tutaj — mówił Pantaleon — królowa Plezencja, ale sam nie wiem, czy dlatego, by znowu związać Cypr z Jerozolimą, czy żeby zobaczyć rycerza Baliana Ibelina... „Znowu Ibelin. całe królestwo Ibelinów! Dwa królestwa! Ale powstrzymał się przed wypowiedzeniem tych myśli.

— Tylko osoba królowej zdolna jest połączyć w jedno całą Syrię — stwierdził ze stanowczością pan z Jaffy. Podniósł rozchyłoną dłoń i majestatycznym gestem nakreślił ją w przestrzeni linie, mającą przedstawiać wąski pas wybrzeża. — Byłaby wtedy jedność: królowa Plezencja na Cyprze i w Acre, książę Behemund w Antiochii i w Tripoli (oczywiście dłoń przeskoczyła w przestrzeni zaporę Tyru), król Hettum w Armenii...

To imię nie było mu obce. Jeszcze przed wyjazdem, kiedy się

zaznajmiał ze sprawami Syrii, powiedział do niego Aleksander: „Zwróć uwagę na Armenię. Jej poprzedni król był naszym sojusznikiem przeciwko Grekom. Uznał zwierzchność Stolicy Apostolskiej. Teraz władzę zagarnął jakiś miejscowy baron. Ale piszą mi, że gotów jest również nam się poddać. Ich katolikosowi był wysłany w swoim czasie palusz... Czas wreszcie zniszczyć monofizytów! Jakżeż się nazywa ten król? Jakos tak: Ko... Mo..., nie pamiętasz?“ — papież zwrócił się niecierpliwie do swego sekretarza. „Król Hettum Wasza Świętobliwość“ — odpowiedział tamten. „O, widzisz — ucieszył się Aleksander — tak mi właśnie chodziło po głowie. Hettum!“

Ale już i tutaj ktoś mu wspominał to imię. Kto mógł mu mówić? Nasłuchując bakałarskiego gadania Ibelina, szukał w pamięci. Aha — słusznie. Pantaleon! Patriarcha robił wrażenie zgorzkniałego. Trąc brodę narzekał: „Wszyscy oni tutaj małe człowieczki... Byle złapać jakieś miasto, byle wypiąć się nad innych... Bądź mi miłościw, Panie Boże — samobójcy! Jeden Hettum wygląda na kogoś, kto ma olej w głowie...“ „Lecz to Armeńczyk i schyzmatyk...“ — powiedział Lentino. Patriarcha milczał; gestem pełnym smutku rozczesywał swą siwą brodę.

— Czy król Hettum jest człowiekiem, na którego można liczyć? — zapytał.

— Na pewno — zapewnił Ibelin. — Jego siostra była moją żoną — brzmiało to jak poręka: — Córka króla Hettuma jest żoną księcia Antiochii.

— Ach, tak... — dominikanin uśmiechnął się do Bohemunda. Wolał jego obrazkowo piękną, zadzierzysłą twarz od mumiowatej maski Ibelina. Ale pod uprzejmym uśmiechem był niesmak. Więc wszyscy tutejsi panowie to tylko kukły w rękach Ibelinów? Wyżej się stawia byle Armeńczyka od książąt krwi... — Rzeczywiście — przyznał z głęboko ukrytą ironią — byłaby to jedność całej chrześcijańskiej Syrii. Przypuszczam, że jest ona potrzebna?

— Naturalnie. Z Egiptem mamy wprowadzić pokój na lat dziesięć, a sułtan Damaszku nas nie zaatakuję... jednakże...

Pokój na lat dziesięć! Więc tutaj wierzy się w taki pokój? Biskup Betlejemski wciąż na nowo uświadamiał sobie, że rzeczywistość tutejsza była zgoła inna, niż ją sobie wyobrażał, odpływając z Italii. Królestwo nie było inne — nie żyło innym życiem jak każda republika włoska — życiem do jutra. Życiem, które wciąż na coś czeka i na coś liczy.

— Sądzę — powiedział, — że wasz plan, dostojni panowie, jest słuszny...

— I zechcecie go, wasza miłość, poprzeć? — zapytał pan z Jaffy. Z tym, niewątpliwie, przybyli do niego.

— Jeśli tak się spodoba Opatrzności — rzekł wymijająco. Z gniewem myślał o Pantaleonie, że tylko potrafi narzekać i biadać. Jeśli ci są tacy — książę de Monfort musi być inny. Tamten, jego kuzyn, potrafił zmiażdżyć suchych herektyków. Wprawdzie było to dzieło krwawe i okrutne, ale jakże skuteczne. De Monfort jest na pewno inny, a już to, że nie należy do ludzi Ibelinów, budzi zaufanie. W poczuciu rozpoczynającej się gry, zatarł ręce. Goście powstali. Odprowadził ich do drzwi.

Jan Dobraczyński



Zygmunt Lichniak

Dramat fatalistyczny

Zdawałoby się, że już dawno boje przeciwko naturalizmowi skończyły się jego bezapelacyjną klęską; można by przypuszczać, że już dostatecznie skompromitowała się pesymistyczna lektura, wyrażająca beznadziejną uległość człowieka wobec nieokreślonego bliżej fatum; skłonni byliśmy sądzić, że już za późno na literackie listy do anonimowego zła. A jednak...

„Opowiadania greckie“ Anny Kowalskiej*) są fatalistycznym dramatem w szesnastu odsłonach pt. „Człowiek — to brzmi nędźnie“ Szesnaście opowiadań zebranych w tomie to zesnaście naturalistycznych „obrazków z życia“. Nie wiśmy jednak o ten naturalizm Emila Zoli, który w takim zestawieniu — toutes proportions gardes — jest raczej twórcą wzorcowej powieści społecznej. Jeśli jakaś wielkość patronowała Autorce „Opowiadań greckich“ to już raczej chyba... Sartre. Nie ubliżajmy jednak Francuzom, lecz zwróćmy do tego, w czytamy się w „humanistyczny“ sens opowiadań.

Ona kochała go nad życie. Więcej: nad śmierć. Utopiła się biedaczka, bo on jej nie mógł pokochać. Bo on był Polakiem, a ona Greczynką („Na statku“).

On kochał ją bez granic. Więcej: bez rozumu. A ona prawdopodobnie puszczała się z cudzoziemcami. Obok tej tragedii rozgrywała się tragedia zbuntowanego ludu. („Amalia i Aleksander“).

On zrezygnował z dzielenia z nią swoich najgłębszych zamiłowań naukowych, bo ją te sprawy nie obchodziły. On umarł. Wtedy ona ukochała jego zainteresowania. Siedziała w czerni u stóp świątyni ateńskich i dla zmarłego uczyła się greki. („Wdowa“).

On ją kochał długo i cierpliwie. Ona wyszła za innego. Ale po paru latach rozmyśliła się. Wsiadła w samolot i przyjechała do ukochanego. Ale on był już nieuleczalnie chory. („Wielki Przeдрzeńniacz“).

Oni są chciwi, pilnują jej jak intratnego interesu, a ona rzuca klejnot mistycznemu głosicielowi nieokreślonych bliżej prawd. Oni jej nie rozumieją. Ona ich też. Siebie też. („Ziarno szaleństwa“).

Wnuczek wiesza babkę, aby zaoszczędzić jada dla swego rodzeństwa. Ludzie patrzają na niego z odrazą. („Wielka Kalavryta“).

Czytelnik z odrazą może pomyśleć o krytyku, że upraszcza, przesadza, zozydza. A jednak jeszcze dziesięć takich „obrazków z życia“, podobnych w kolorystyce, choć różniących się tematem, zawiera omawiany zbiorek.

Trzeba patrzeć na beznadziejny pejzaż ludzkiej podłości („Popołudnie w Tirynsie“), trzeba dowiedzieć się, że egoizm nie pozwala zrozumieć poświęcenia („Idylla w Nauplii“), trzeba patrzeć, jak wygląda greckie uosobienie „Schadenfreude“ („Panajotis“), trzeba męczyć się beznadziejnością pożegnalnej muzyki, odprowadzającej grupę młodych żołnierzy, o których właściwie nie

wiemy nic („Rekruci z wyspy Paros“), trzeba wystuchać ponurej anegdoty o zanikaniu norm etycznych („Bigamista“), trzeba spotkać Greczynkę, która zniechęca Polkę i „Quo vadis“, bo ojciec maltretował ją przymusem codziennego czytania mu tej powieści („Magia“), trzeba podglądać jak młodzi sadyści biją się z satysfakcją po pysku („Na cmentarzu w Tabach“), trzeba iść kawał drogi w towarzystwie mizernego czelczyzny, który jest samą małosikowością i wulgarnością („Natręć“), trzeba czytać o starej służącej, która zamordowała swoją kochaną panią, aby zdobyć jej... parasolkę i skończyć w domu wariatów („Wierna sługa“), trzeba podsłuchać rozmowę o tym, jak brata zabił — zdaje się — brat („U fryzjera Mamusa“)...

Nie trzeba wyjaśniać chyba, dlaczego przytoczony tutaj „spis treści“ niepokoi swoją wymową. Oczywiście, w streszczeniowym skrócie został on uproszczony w sposób dość niekorzystny dla walorów językowych, narratorskich czy językowych, które stanowią niewątpliwą zdobycz Autorki. Ale te walory właśnie wypuklają, główny błąd koncepcyjny tomu, widoczny nawet w zwięzłej rejestracji jego tematów. Wszystkie te maty wikłają się w beznadziejnych konfliktach. Schemat wszystkich konfliktów, przedstawionych w szesnastu opowiadaniach, zawieszony jest w próżni.

Domyślamy się, że książka ma być buntem przeciwko obrazowemu sytuacji czy charakterom, ale jednocześnie stwierdzamy, że autorka nie ukazuje przyczyn, uwarunkowań lub szans przemiany przedstawionych przez siebie sytuacji i charakterów. Tym wyraziściej występuje fatalistyczna sugestia książki, że wszystkimu winien los — „Wielki Przeдрzeńniacz“. Dlatego chyba w „Opowiadaniach greckich“ sceptycyzm wyrodził się w nihilizm, bunt — bezsilną manifestację, współzucie dla uwikłanego w sprzecznościach świata — w mefistofelesowską „radość zła“, realistyczne widzenie życia — w naturalistyczną rejestrację nieodwołalnych i niewytłumaczalnych procesów.

Zawiniła w tym na pewno trudna forma opowiadania, zawiniły egzystencjalistyczne smaczki literackie, zawinił makabryczny pointyizm, ale istotnych przyczyn szukać należy głębiej: w świadomości pisarskiej autorki „Opowiadań greckich“, w braku czynnego zaangażowania jej woli przemiany istniejącego świata, która nie musi się wyrażać w takim moralizatorstwie, ale która nie pozwala poprzestać na stwierdzeniu, że człowiek jest zły, lecz zmusza do wniesienia w to, który człowiek, kiedy i dlaczego postępuje w sposób, odbierający mu godność ludzką.

Zygmunt Lichniak

*) Anna Kowalska: „Opowiadania greckie“, Sp. Wyd. „Czytelnik“ Warszawa, 1949, str. 141.

Do wszystkich naszych Czytelników zwracamy się z apelem, aby stali się naszymi prenumeratorami

bowiem

PODSTAWA BYTU PISMA

jest!

PRENUMERATA

Konto PKO I-727 Warszawa

Administracja „Dziś i Jutro“
Warszawa, ul. Mokotowska 43

T Y D Z I E Ń

Adam Weber

Bitwa o poezję

Obok wypowiedzi i deklaracji Andrzeja Andrzejewskiego — drugim wydarzeniem literackiego sezonu jest „bitwa o poezję”. Pierwsze strzały tej wojny oddali Czesław Miłosz i Mieczysław Jastrun w jednym z ostatnich numerów „Kuznicy”. Miłosz w swym artykule „O stanie polskiej poezji”, zaatakował niedołość formalne młodych poetów. Podobna tendencja została wyrażona w artykule Jastruna — sprawozdaniu z objazdu autorskiego po wsiach i miasteczkach. Pytają w jednej miejscowości Jastruna: „Jaka jest właściwie różnica między artykułem w gazecie a utworem poetyckim?” — pytają, gdyż często różnicy tej nie widzą. I Jastrun przypominając uwagę Tuwima o tym jak wiele złych wierszy teraz się u nas drukuje — właściwie przytakuje pytaniu, pozostawiając je bez odpowiedzi. Dyskusję właściwą wywołała jednak dopiero obszerna, drukowana w „Odrodzeniu” wypowiedź Wiktora Woroszyńskiego.

Któż to jest Woroszyński? Wypada odpowiedzieć na to pytanie, gdyż czytelnicy nawet tych pism gdzie Woroszyński publikował swe wiersze nie zawsze zapamiętali to nazwisko. Jest to po prostu bardzo młody poeta, dwudziestokilkolatek, niewątpliwie zdolny, ale zdolnością raczej obiecywaną niż realizowaną. Z grupy młodych piszących, należących do ZMP czy też ZAMP — najzdolniejszy, co pozbawiło go poczucia proporcji. Z młodzieńczą brawurą wyróżnił w „Odrodzeniu” ogromny artykuł, którego sens pokrótce wygląda w ten sposób:

W Związku Radzieckim toczyła się dyskusja na temat Majakowskiego. Według Woroszyńskiego dyskusja ta skończyła się wygraną tych poetów i krytyków, którzy żądali od twórców nie tylko naśladowania postawy ideowej poety radzieckiego, ale również jego stylu formalnego. W tym miejscu Woroszyński przerzuca sprawę na teren polski i żąda, by — wobec analogii w rozwoju rewolucyjnym czasów Majakowskiego i naszych współczesnych — i nasi poeci też po prostu naśladowali Majakowskiego, jak z treści wypowiedzi wynika, naśladowali nawet formalnie. Żąda on by polskie wiersze były „Majakowskie” z ducha i z formy. W związku ze swym żądaniem młodzieńcki polski poeta, autor dwóch czy trzech skromnych tomików, wystawia laurki i cenzurki reszcie swych poetyckich kolegów z obozu marksistowskiego. Szerzej analizuje — na przykładach — twórczość Brauna Andrzeja i Romana Bratnego opisując ich drogę dojścia do stylu Majakowskiego, krytykując wiersze dawniejsze, chwalać ostatnie, już „majakowskie”. Podobnie ocenia Urzaczka, Gruszczyńskiego, Wirpszę, Kubiaka, no i siebie samego czyniąc to w trzeciej osobie, co oczywiście ma dziwnie snobistyczny charakter. Wreszcie — i to jest chyba clou całego artykułu — następuje atak na kilku poetów, wedle Woroszyńskiego przeciwników Majakowskiego; jednych lekceważąc wymieniana w nawiasach (Jastrun, Hertz), dwóch innych atakuje z przykładami — Stanisława Wygodzkiego i Leopolda Lewina — zwracając im już nie tylko „nie-majakowskość” formalną, to jest używanie tradycyjnej strofy wiersza, ale i błędność polityczną ich poezji. Co jest oczywiście tym bar-

dziej dziwne w stosunku do Lewina, iż jest to nagradzany ostatnio autor szeregu politycznych poematów i pieśni (na 1 maja, Pieśń Partii, o gen. Świerczewskim itp.) a wiersz za jakiej atakuje go Woroszyński, jak wykazała późniejsza dyskusja powstał w 1945 roku. W stosunku do Wygodzkiego kwalifikuje się jako... brak dostatecznie mocnych słów. Młody ZMPowiec zaatakował starego działacza komunistycznego, więźnia przedwojennego i wojennego, którego wiersze wydawane były w książkach przed wojną, jeszcze wtedy, gdy Woroszyński uczył się pewnie pisać. Potraktowanie jednego z najciekawszych pisarzy polskich Jastruna w nawiasach, jako wprost niegodnego uwagi, też ma swój wydźwięk, niekoniecznie pochlebny dla autora „Batalii o Majakowskiego”.

Elaborat Woroszyńskiego — spowodował dalsze wypowiedzi. „Kuznica” ogłosiła numer niemal w całości poświęcony tej sprawie. Janina Preger — jedna z najciekawszych krytyków młodego pokolenia — podtrzymuje zarzuty przeciw młodej poezji, która — jej zdaniem — zbyt powierzchownie próbuje przestawić się z poezji osobistej na polityczną i społeczną, czerpiąc nie z własnych doświadczeń, lecz wprost z trzeciej ręki, z artykułów gazetowych. Chodzi o to „by wybierane przez młodych poetów tematy zaczerpnięte z konkretnego doświadczenia mogą im pozwolić tworzyć sztukę wartościową”. Pregerówna wypowiada się przeciw Woroszyńskiemu, gdyż ten „pragnie ustalać kanony nowoczesnej poezji w oparciu o tak nie nadającą się do jakiegokolwiek kanonizacji twórczość rewolucyjną Majakowskiego”. W ogóle wiele gorzkich słów wyczytał o sobie Woroszyński w tym numerze „Kuznicy”. Broni go też tylko jeden — bliżej czytelniczemu ogółowi nieznany — p. Grzegorz Lasota, który znowu przeciwstawia młodą poezję — dobrą przez polityczny dobór poruszonych tematów — poetom starym, jak Jastrun czy Miłosz. Oburza go tytuł tomu Jastruna „Sezon w Alpach” — choć nie analizuje jego treści, bo byłby wtedy w kłopotcie, nie pasowałoby to do jego młodzieńczo-pewnych siebie tez. Załatwia się z „Traktatem moralnym” Miłosza jako pozycją nihilistyczną, nie dostrzegając całej wagi tej pozycji w cyklu „inteligentnych obrachunków” — niestety, młody publicysta nie pamięta Miłosza pozycji przedwojennej, wojennej, nie interesują go problemy pokolenia trochę dojrzałego, furda — świat zaczął się przecież od Lasoty! Nie wiecie państwo o tym? Bardzo MNIE to dziwi! Przy okazji zarzut pod adresem pism krytyczno-literackich, iż zbyt mało poświęcają uwagi analizom wydanych tomików — zarzut słuszny, ale... pisma są odbiciem zainteresowań czytelnicy. Sek w tym, że wydane tomiki są prawie nieczytane, jeżeli wręcz nie nieczytelne! Na to zresztą też jeden z następnych dyskusantów (Jacek Bocheński w „Odrodzeniu”) zwrócił uwagę, nie potrafiąc jednak odpowiedzieć dlaczego czytają ludzie w Polsce Jastruna, Wygodzkiego, Broniewskiego, Tuwima, Gałczyńskiego, a nie czytają Bratnego, Woroszyńskiego, Gruszczyńskiego i pół tuzina innych. Tomy poetów czytanych są omawiane, rozchodzą się

Jerzy Andrzejewski — nazwisko to ma swą wagę w naszej współczesnej literaturze — ogłosił w numerze „Odrodzenia” z 29.I 1950 roku całostronicowy artykuł pod tytułem „Notatki”. Obok drugiego artykułu tego samego numeru — Woroszyńskiego o poezji, „Notatki” Andrzejewskiego stały się sensacją kulturalną i literacko-polityczną o wielkim ciężarze gatunkowym. Artykuł Andrzejewskiego jest kresem pewnej ideowej drogi, jaką przebiegał autor. Może interesującym będzie przypomnieć jej główny zarys — między innymi i w tej intencji, by siebie przy drugim uchronić przed pochopnymi, fałszywymi wnioskami.

Jerzy Andrzejewski, pisarz dobiegający dziś czterdziestki, jest rzadkim w naszej współczesnej literaturze przykładem twórcy, którego każde dzieło budzi głębokie i szerokie echa; chwalony, potępiany, a przede wszystkim czytany przez niezliczone rzesze czytelników. Debiut „Drogi nieuniknione” (1936) wzbudził zainteresowanie krytyków. Wydany w dwa lata później „Ład serca” stał się gwiazdą literackiego sezonu. Uonorowano go nagrodą młodych Akademii Literatury, trzema wydaniami w najpopularniejszym „Roju” — do czego należy dorzucić bodaj trzy następane wydania, już po wojnie, u „Gebethnera i Wolffa”. Nowele wojenne — również zdobyły sobie nagrody i wyróżnienia („Noc”), a jedna z nich „Przed sądem” stała się obiektem ciekawej polemiki ideowej i formalnej w 1945 roku między Janem Kottem i autorem, potem — w 1949 roku — między autorem a współczesnymi niemieckimi czytelnikami. Druga nowela zbiorku „Apel” jest chyba fragmentem literackim, obok Borowskiego, najciekawiej przedstawiającym atmosferę Oświęcimia;

wielokrotnych nakładach, ich wieczone autorskie cieszą się niebywałym powodzeniem. Gdy na to pytanie znajdziemy odpowiedź — rozwiążemy zagadkę dyskusji. Wygodzki czy Jastrun nie są w swej twórczości mniej komunistycznymi od Majakowskiego, rzecz tylko w tym, że Majakowski był geniuszem, który narzucił czytelnikom i słuchaczom zrozumienie formy swego wiersza (forma ta zresztą była rezultatem m. in. i tego, że wiersze swe radziecki poeta pisał dla recytowania ich na wielkich zebraniach robotniczych), a jego naśladowcy nie są geniuszami tylko epigonami. Wygodzki i Jastrun rozumieją to czego nie pojmują Woroszyński i Lasota: wiersz socjalistycznego poety musi być taki, by był zrozumiany przez robotnika odbiorcę, a to rozumienie z kolei uwarunkowane jest najrozmaitszymi przesłankami: językiem (melodyjność rosyjskiego i rytmika Majakowskiego w przeciwieństwie do twardego polskiego języka), tradycją literacką, systemem przekazywania wiersza (recytacja czy druk), wreszcie rodzajem ludowej kultury. Grafika meksykańska znakomicie odpowiada tamtejszemu chłopu i robotnikowi, dlatego jest znakomita, czy równie byłaby dobra w naszej fabryce czy naszej wsi? Kosmopolityczna twórczość nie liczy się z narodowo zróżnicowaną kulturą odbiorcy — socjalistyczna twórczość tym właśnie się od poprzedniej różni, że soki swe czerpać chce z tradycji lu-

autor zresztą w obozie żadnym nie był. O popularności ostatniej książki Andrzejewskiego „Popiół i diament” — nie trzeba chyba przypominać.

A teraz droga ideowa Andrzejewskiego. Ta wygląda interesująco — i ona właśnie, obok wartości fabularnych, decyduje o popularności każdej wypowiedzi pisarza. Andrzejewski nie jest pisarzem letnim. Jest to pisarz par excellence tendencyjny, tylko, że tendencja w nim dotychczas ciągle była w stanie kinetycznym, ani na chwilę nie zastąpiła w bezruchu. Ta ognista lawa fascynowała.

Andrzejewski, syn nobliwego warszawskiego mieszczaństwa — poglądy młodości odziedziczył po swej klasie społecznej. Ukończywszy znaną z endeckości gimnazjum Zamojskiego w Warszawie — studiując polonistykę u prof. Ujejskiego nie solidaryzował się z silnym podówczas na warszawskiej polonistyce kołem polonistów-lewicowców, gdzie prym wiodli Żółkiewski Stefan, Siedlecki Franciszek, Fryde Ludwik. Andrzejewski, choć jakimś mało ważnym artykulikiem zadebiutował w „Wiadomościach Literackich”, pracę swą literacką naprawdę rozpoczął dopiero pod skrzydłami śp. Stanisława Piaseckiego, prowadząc najpierw w „Prosto z Mostu” felieton teatralny. Potem złożył z kilku opowiadań tom, wydany jako pierwszy przez Bibliotekę „Prosto z Mostu”. Wreszcie w odcinku tegoż tygodnika rozpoczęła drukować się powieść Andrzejewskiego pt. „Ład serca”. Deklarował się wtedy jako katolik. Wertował dzieła Mouniera, Maritain’a. O ile w kilka lat później prof.

Kleiner nazwał — dość nietrafnie, lecz zabawnie — Andrzejewskiego polskim Malraux, to w odniesieniu do „Ładu serca” sprawiedliwe może być porównanie tej powieści do książki Franc. Mauriaca. Entuzjastycznie przyjęta została przez „intelektualnych przyjaciół katolicyzmu” jak trafnie w wiele lat później nazwał tych ludzi sam Andrzejewski, przez liberałów z „Wiadomości Literackich, dostrzegających w tej książce ziarno przyszłych konfliktów autora z Kościołem, dostrzegających jakiś laicki wydźwięk, bliższy pozowaniu na katolicyzm, niż istotnemu katolicyzmowi. Dobrego nosa mieli Stonimski, Boy i Grydzewski. „Wiadomości Literackie” nagrodziły tę powieść nagrodą swych Czytelników, nieco wcześniej odznaczyła ją „Akademia Literatury”. Było to już jednak po rozejściu się Andrzejewskiego z „Prosto z Mostu”. Pisarz ten był katolikiem z tradycji rodzinnej, z niepokoju intelektualnego, który szukał rozwiązań i pragnął wiary, nacjonalistą chyba tylko z przypadku. Gdy tylko słowo konies ukazało się na łamach „Prosto z Mostu” pod ostatnim odcinkiem „Ładu serca”, natychmiast posypały się krytyki, ze strony właśnie obozu endeckiego. Wkrótce potem wybuchła sprawa Żydów zbąszyńskich — w obozie pod Zbąszyniem znaleźli na terenie Polski schronienie Żydzi wygnani z III Rzeszy. Endecka prasa, w tej liczbie tygodnik „Prosto z Mostu”, rozpoczęła nagonkę. Równocześnie wśród intelektualistów rozpoczęto zbierać składkę na tych biednych uciekinierów. Na liście składających ofiary i wyrażających swe oburzenie znaleźli się dwaj współpracownicy „Prosto z Mostu”, Andrzejewski i Bolesław Miciński,

a te są w każdym narodzie inne. To wie Jastrun a nie rozumie Lasota. To rozumieją autorzy czołowych artykułów w „Kuznicy” Matuszewski i Śpiwak, którzy nie zgadzają się na to, by formalna strona poezji Majakowskiego miała być jedynym wyznacznikiem i miernikiem ideowej rangi polskiego poety.

Zasadniczą dyskusję z Woroszyńskim podjęły, jak dotąd, dwa artykuły: Ryszarda Matuszewskiego i Jana Śpiwaka (oba w „Kuznicy”). Matuszewski przyjmując za właściwe część zarzutów Lasoty (zbyt słabe uwzględnianie w „Kuznicy” poezji młodych poetów marksistowskich), jednocześnie rzeczowo i spokojnie wyjaśnia błędy ich stanowiska: błędy odnośnie niefortunnego interpretowania „sprawy Majakowskiego”, odnośnie nieuczciwego referowania stanowiska pisarza Jastruna i innych poetów, wreszcie błędy płynące z niedoceniań formy artystycznej wiersza, bez której staje się on jedynie deklaracją, nie sztuką.

Niezwykle ostro atakuje Woroszyńskiego Jan Śpiwak w pierwszym rzędzie pouczając go o jednostronnym referowaniu przez młodego pisarza dyskusji toczonyj w ZSRR. Powołując się na zdanie Stalina, „iż literatura musi być socjalistyczną pod względem treści a narodową pod względem formy” — Śpiwak zwraca uwagę, iż najpełniej realizuje wzór Majakowskiego Władysław Broniewski,

właśnie dlatego, że w indywidualnej, zrozumiałej dla polskiego czytelnika formie oddaje treść rewolucyjną, socjalistyczną.

Dyskusja, do której nawet w sposób dowcipny dorzucił swoje trzy grosze Minkiewicz w „przekrojowych” „Pigułkach”, atakując poetów, którzy wpadli na znakomity pomysł powiększania swych honorariów przez ustawianie w nierówne linijki dosłownych tekstów wstępnych artykułów w dziennikach — dyskusja ta dopiero się rozpoczęła. Po dyskusji nad realizmem toczonyj u nas w latach 1945-46 — jest to druga namiętna batalia literacka. Tym razem już jednak rozgrywana wewnątrz obozu poetów marksistowskich lub marksizujących. Dobrze, że dyskusja ta wybuchła — może w istocie otrzeźwi ona nieco zapalone głowy młodych poetów — tworzących garstkę dziwnie tragiczną: oni piszą a ich mało kto i czyta. Cóż straszliwszego dla twórcy i to twórcy obozu rewolucyjnego, jak brak rezonansu w społeczeństwie.

Na kim się miele — na Gałczyńskim się skupi. Naskoczył na Gałczyńskiego Lasota, zawtórował mu Matuszewski, dopowiedział Bocheński. Chodzi o to, że Gałczyński na zbyt łatwo wdział na siebie rewolucyjną bluzę. Bocheński precyzuje bliżej: Gałczyński jego zdaniem niefrasobliwie łączy dwie sprzeczne treści: gust małomieszczański ubrany w rewolucyjne szatki, opatrzone socja-

KULTURALNY

U KRESU DROGI?

W „Prosto z Mostu“ wybuchła awantura. Pietrkiewicz Jerzy — ówczesny „wieszcz“ poetycki „Prosto z Mostu“, pośpieszył wyrazić Andrzejewskiemu wyrazy oburzenia, ten odłożył słuchawkę. W kilka miesięcy później „Wiadomości Literackie“, pismo z katolicyzmem niewiele mające wspólnego, zapowiedziało pierwsze fragmenty powieści Andrzejewskiego, bodaj pt. „Matka“. Wojna uniemożliwiła druk — jednak pozostał anons świadczący o radykalnym rozstaniu się Andrzejewskiego z grupami podówczas oficjalnie reprezentującymi katolicyzm w Polsce. Zauważmy: po rozstaniu się z Piaseckim Andrzejewski nie poszedł do poznańskiej „Kultury“, czym zamantostowałby pozostanie przy katolicyzmie, acz mocno innego rodzaju niż ten z „Prosto z Mostu“, ale rozpoczął współpracę z „Wiadomościami Literackimi“. Tym, którzy w powojennej ewolucji Andrzejewskiego dostrzegają cechy kontinentalne — wypada przypomnieć wypadki powyższe, jeszcze sprzed wojny, gdyż już wtedy przesuwano się Andrzejewskiego do prawicy ku lewicy rozpoczęło się wyraźnie i niedwuznacznie.

Dlatego też ludzi pamiętających tamten okres Andrzejewskiego w najmniejszym stopniu nie zdziwił numer „Odrodzenia“ z października 1945 roku, gdzie pod tytułem „Propozycje teraźniejszości“ Jerzy Andrzejewski ujawnił jeszcze głębszy rozdźwięk z katolicyzmem i jeszcze większe zbliżenie się do lewicy marksistowskiej.

„Propozycje teraźniejszości“ były listem z pół drogi. Pisane były je-

szcze w krainie może laickiego, ale w każdym razie katolickiego klimatu. Jeszcze używa się terminologii moralności chrześcijańskiej. Jeszcze nie przyznaje racji marksistom w ocenie wewnętrznego życia człowieka; jeszcze tak niedawno przecież bronił wobec ataku Kotta noweli „Przed sądem“ argumentem, iż nie wolno nam zubażać pisarstwa przez pogardę dla wewnętrznych, niezależnych, imperatywów moralnych jednostek. Jeszcze woła, iż „w imię litery społecznego dogmatu nie może pozbawić się prawa do litości i wielkoduszności“... Ale już stwierdza (czy niezbyt pochopnie?), iż „historyczna era religii katolickiej kona w naszych oczach“. Już zaprzecza prawdom katolicyzmu, ale jeszcze nie przyznaje marksizmowi „racji do pełnego przyjęcia go za podstawę wartościowania“. Daleko odszedł pisarz od katolicyzmu, ale daleko mu jeszcze do marksizmu. Mieni się być „katechumenem“ nowego, młodego, światopoglądu, ale jako katechumen marksizmu żąda równego prawa do ideowej rezerwy, jakim posługiwał się będąc „intelektualnym przyjacielem Kościoła“. Zawieszony między dwoma światopoglądami Andrzejewski zażądał prawa do samotności, co nie znaczyć ma osamotnienia, lecz samotności artysty, który wprowadzie solidaryzując się z nowym porządkiem świata, pragnie jednak „sam, bez pomocy z zewnątrz i bez świadectwa norm obiektywnych wprowadzić w mrok człowieka ład i porządek“. Takim był Andrzejewski jesienią 1945 roku. Konsekwentną drogę odbył od czasów przedwojennych.

Potem pisarz stworzył „Popiół i

diament“, zdaniem krytyki marksistowskiej — obraz ten pełen był politycznego fałszu. W dziele tym Andrzejewski narysował obraz daleki od reguł realizmu socjalistycznego, gdyż nie w przyznacie walki klasowej ujął wypadki ostatnich dni wojny i pierwszych pokoju w naszym kraju.

Ewolucja ideowa pisarza postępowała nadal. Ostatnim etapom tej ewolucji poświęcone są właśnie niedawne „Notatki“. To już jest deklaracja z samego kresu drogi. Język, chrześcijański czy potem liberalnego, ale zawsze moralisty, został zastąpiony językiem marksisty. Pisarz potępia swoją poprzednią twórczość, znajdując jej zasadnicze braki, z „Popiołem i diamentem“ włącznie. Deklaruje, iż od laickiego katolicyzmu doszedł długą i niełatwą drogą do marksizmu-leninizmu. Zajmuje stanowisko wyraźnie partyjne — nie tylko stwierdzając, iż partia — mowa o PZPR — „wreszcie stała się jego własną partią“, ale i partyjnie ustosunkowując się do sprawy „pochwał, którymi obdarzają nas przeciwnicy“.

Jerzy Andrzejewski doszedł kresu swej drogi. Nie czując się w informacyjnej notatce powołanymi do wyrażania zasadniczej opinii o ideowych przemianach tego pisarza, uważaliśmy za właściwe narysować tę drogę, jej etapy i punkty węzłowe. W tych samych mniej więcej latach Jerzy Zawieyski przeszedł drogę wręcz odwrotną. Zjawiska odejść i powrotów muszą występować wszędzie tam, gdzie żywi ludzie są obiektami wielkich przemian historycznych.

A. W.

listycznym sloganem, tytułem, jakby chodziło o firmę a nie o treść: jak się zwał tak się zwał byle by się dobrze miało

Z tym trudno się nie zgodzić — Gałczyński ma swe grzechy, ale nie wolno powtórzyć w dyskusji o poezji błędu jaki Śpiwak popełnił swego czasu w artykule o polskiej satyrze: nie zauważył pozycji najpopularniejszych — Grodzieńskiej, Wiecha, Tuwima, ba! nie zauważył jednego polskiego „kartonu“ politycznego — Bęc-Walskiego. Podobnie z Gałczyńskim — nie sposób dyskutować o poezji nie biorąc pod uwagę Gałczyńskiego, jednak nie czyniąc „przygryzków“, tylko należy rozpatrzyć poważne problemy: dlaczego Gałczyński jest tak czytany, w jakim stopniu łączy on w swych wierszach „nowe“ i „stare“ pełniąc poważną rolę wychowawczą, ucząc ludzi czytania wierszy, w jaki sposób ten poeta wypełnia postulat Pregerówny o korzystaniu z własnego doświadczenia? I tak dalej — przecież Gałczyński ma kolosalny wpływ na stan współczesnej poezji w Polsce: wspólnie z Broniewskim kształtują gust czytelników i tworzą szkoły poetyckie.

A tak już jakoś się składa, że ludzie czytają tylko tych poetów, którzy mają talent rzeczywistości, a nie w których to wprawia małe grono przyjaciół! I zdaje się, że tu jest pies pogrzebany!

Adam Weber

Zbiorowy jubileusz księgarzy stołecznych

Księgarstwo stołeczne obchodziło w ubiegłym tygodniu wyjątkowe święto — zbiorowy jubileusz pracy zawodowej 88 księgarzy, którzy wytrwali przez 30, 40, 45, 50 i więcej lat w swoim zawodzie, na odpowiedzialnej placówce kultury narodowej. Jak jeden z mówców obliczył — 88 jubilatów dało w sumie 2.795 lat swojej pracy zawodowej.

Po zagajeniu przez Antoniego Bogdańskiego, prezesa Koła Warszawskiego Związku Księgarzy Polskich zabrał głos dyr. Władysław Trzaska.

Stwierdził na wstępie: „zebraliśmy się w tak liczny gronie, aby złożyć hołd pracy ludzkiej, podkreślić wielką wytrwałość i ukochanie swojego warsztatu pracy przez prawie stu księgarzy, którzy większość swojego życia przepracowali w służbie książki, piśmiennictwa i kultury.“

Dzień dzisiejszy jest prawnym świętem pracy dla całego księgarstwa polskiego.

Sprawa jubileuszów pracy zawodowej — jest sprawą niemałej wagi. Księgarstwo należy do tych nie-

wielu gałęzi pracy wykwalifikowanej, gdzie uzyskanie wysokiego stopnia fachowości i opanowania wszystkich arkanów wiedzy zawodowej jest jedynie możliwe przez długoletnią, wytrwałą i nieprzerwaną pracę na tak zwanym froncie księgarskim, poprzez ustawiczny kontakt z książką i jej konsumentem. Stąd wywodzi się ta doniosła i wychowawcza rola jubileuszów pracy w dążeniu do utrzymania wysokiego poziomu moralnego i fachowego naszego zawodu księgarskiego.

W imieniu jubilatów przemówił prezes Stanisław Arct. W zakończeniu powiedział: „My jubilaci uważamy się za przymierze między dawnymi a nowymi laty. Wyrośliśmy z dawnych lat, nauczyliśmy się zawodu i pracy w dawnych latach. Wszystko co umiemy damy z siebie latom nowym, dla książki i dla jej upowszechnienia, dla jej chwały i dobra.“

Po przemówieniach nastąpiło wręczenie dyplomów oraz oznak pamiątkowych jubilatów.

St. P.

TEATR

Brygada szlifierza Karhana

Sztukę czechosłowackiego robotnika — pisarza Waszka Kania*) zobaczyć powinni wszyscy dramatopisarze polscy. Nie dlatego, że „Brygada“ jest jakimś ideałem — dlatego po prostu, by przekonać się ostatecznie o tym, że warunkiem niezbędnym dla pisarza, zamierzającego dać obraz jakiegokolwiek środowiska jest gruntowna, niepowierzchniowa znajomość tego środowiska.

„Trzeciej zmianie“ Eugeniusza Paukszyta wiele by można i należało zarzucić (drukowana w poprzednim numerze „Dziś i Jutro“ recenzja J. Dobraczyńskiego jest o wiele za łagodna i przez to dla autora książki — powiedziałbym — bardziej szkodliwa niż przyjemna), trzeba jednak stwierdzić — i tu Dobraczyński ma niewątpliwie rację — iż trudne do zgłębienia stanowisko hutnicze Paukszyta nie tylko poznał, ale — jeśli wolno tak powiedzieć — przeżył. I w tym mieści się największa wartość skądinąd trochę nieporadnej, miejscami naiwnej powieści Paukszyta.

To samo powtórzyć można — słowo w słowo — o sztuce szlifierza Kania.

„Brygada“ Kania nastęrcza wiele wątpliwości zarówno ideologicznych, jak i formalnych. Mimo to jednak rację miał E. F. Burian, który pisał w marcu ubiegłego roku: „zalety przeważają błędy „Karhana“. Zalety te polegają przede wszystkim na tym, że Kania, opierając się na gruntownej znajomości środowiska, mógł zamierzoną koncepcję ideologiczną zrealizować w ten sposób, by ludzie jego byli ludźmi żywymi, prawdziwymi.“

Takich ludzi, jak u Kania, spotykaliśmy jeszcze przed wojną w literaturze polskiej. Myślę tu o J. Brzozie.

Podobno każdy człowiek mógłby od biedy napisać ze swego życia jedną ciekawą dla wszystkich książkę. Czy o to tylko nam idzie? Absolutnie nie. Powieść autobiograficzna porwać nas może jeszcze czasem jako zjawisko jednostkowe — nie może nam żadną miarą zastąpić koncepcji wytyczającej drogę literaturze, koncepcji realizmu. U Worcella, Wisłokowskiego czy Ukniewskiej mamy fotografię przeszłości, u Brzozy i Kania wizję zrealizowaną na podstawie dokładnej, precyzyjnej znajomości zjawisk, wizję, która nie traci przez swą fikcyjność nic z prawdy. Nie jest bowiem ważny dla widza ten czy ów szczegół życia — ważna jest linia życia. Rzecz o talentu pisarza jest pogodzić swą fantazję z prawdą. I tu kłopot największy: jakby postąpił majster, którego znam, gdyby się znalazł w takiej sytuacji, w jakiej chce postawić Karhana seniora. Trzeba dużej wnikliwości by na to pytanie dać bezbłędną odpowiedź.

*) Waszek Kania — „Brygada szlifierza Karhana“. Występy gościnne Państwowego Teatru Nowego w Łodzi.

Autor „Brygady“ znał niewątpliwie wielu majstrów w typie Karhana — nie uchronił się jednak przed tym, że bohater przez niego stworzony wyszedł chwilami poza ramy rzeczywistości: tak jest np. wówczas, gdy Karhan, systematycznie odmawia zjedzenia obiadu, gdy wyrzuca z domu syna, gdy współzawodnictwo pracy zaczyna traktować niezgodnie ze swą strukturą psychiczną, nieco historycznie. Na warsztat twórczy Kania wypełzył skądinąd, może z lektury, może z obserwacji innego typu, jakieś grymasy inteligentkie obce robotnikowi, obce wieloletniemu doświadczeniu. I ten wpływ jest charakterystyczny dla wielu prób tego rodzaju. Jakże bardzo — mimo wyraźnej woli — odstępował od realiów klasy robotniczej Jan Brzoza, ciągnąc niepotrzebnie „Budowali gmach“ w rejony inteligentkich rozumowań. Zdecydowało tu chyba bardzo błędne przekonanie, że przez przypięcie przywar, psychologicznych dodatków inteligentnych uzyskuje się „pogłębienie“ postaci. Błąd polegał na niezrozumieniu prawdy, że pozorna prostota charakteru robotnika jest niejednokrotnie największą głębią.

Zaletą sztuki Kania jest to, że oglądamy w niej ludzi pracy przy ich warsztacie, że oglądamy wreszcie załogę fabryki. Różnorodność typów ludzkich jest zastanawiająca.

Zaletą jest to, że związek tych ludzi z fabryką opiera się na szczerości, że robotnicy naprawdę są robotnikami.

Zaletą jest to, że istotnie, zgodnie z wypowiedzią autora, jesteśmy świadkami „wielkiego i dokładnego przeszlifowywania człowieka“. Temat był trudny i mimo usterek autor wywiązał się z niego lepiej niż się to dotychczas udało wielu jego poprzednikom.

„Brygada szlifierza Karhana“ stanowi zjawisko teatralne jeśli nie dużej, to naprawdę bardzo interesującej miary.

Reżyseria i wykonanie aktorskie nasuwa dość dużo wątpliwości. Reżyser zbyt mało zwrócił uwagi na wrę pracy. Warunki chwilowego nawet odpoczynku nie są zachęcające. Z wykonawców wyróżnił się Józef Pilarski (Karhan starszy), Kazimierz Dejmek (Jarka) i Stanisław Łapiński (Fikejs). (fb)

SPROSTOWANIE

W 221 n-rze „Dziś i Jutro“ w artykule „Wspomnienie o dr Marcinkowskim“ (str. 10, szpalta 4, wiersz 6 od dołu) zniekształcony z przyczyn technicznych tekst winien brzmieć: „Inspiratorem tego przedsięwzięcia jest oczywiście Marcinkowski“. Wiersze: 6—2 od dołu są zbędne.

POPIERAJ CIE
KATOLICKI
UNIwersytet LUBELSKI

C o p i s z q i n n i . . .

Ostatnie numery „Znaku” (20 i 21) przyniosły bogaty materiał. Rozprawa Stanisława Stomma: „Na czym polega burżuizmo?” (nr 20) — nie znalazła dotąd dostatecznie silnego oddźwięku w prasie polskiej. Nie wiem, czy wszyscy docenili ciężar gatunkowy tej wypowiedzi publicystycznej. Artykuł Stomma powinien być jak najszerszej spopularyzowany, zwłaszcza wśród katolików. Zachęcając naszych Czytelników do przestudiowania go w całości, postaramy się jednocześnie przedstawić w streszczeniu jego zasadnicze tezy.

Najpierw autor precyzuje znaczenie wyrazu „burżuizmo”. Chodzi tu nie o kategorię ściśle socjologiczną, ale o pewien styl życia i pewną postawę życiową. Ta „burżujska” postawa szczególnie się rozwinęła i zakorzeniła w klasie mieszczańskiej (stąd sama nazwa), ale jest ona zjawiskiem zarówno szerszym, jak i węższym od zakresu klasy społecznej. Na czym polega „burżuizmo”? Stomma wylicza trzy cechy charakterystyczne dla tej postawy: a) materializm praktyczny (postawa życiowa, której cechą dominującą jest dążenie do korzyści materialnych); b) płytki optymizm, wiążący się z niedostrzeganiem, lekceważeniem lub wręcz negowaniem tragicznych pierwiastków życia; c) statyka, postawa konsumpcyjna i statyczna, z której wypływa wrogi stosunek do zmian oraz dążenie do starannego wyeliminowania wszelkich konfliktów, zarówno w sensie zewnętrznym (społecznym) jak też i wewnętrznym (rozterki sumienia).

Ta postawa burżujska bardzo rzadko łączy się z materializmem filozoficznym i ateizmem. Ale ponieważ jej cechą dominującą jest materializm praktyczny, przeto „spirytualizm” burżujski jest tylko tradycyjną nadbudówką bez głębszej treści. „W ujęciu tym religia wbudowana zostaje w egoistyczny ideał życia, zwiększając jego bezpieczeństwo i wygodę. Zamiast być

źródłem dynamiki duchowej staje się piorunochronem, odprowadza niepokój i eliminuje konflikty sumienia. I wtedy człowiek staje się wygodnym, egoistycznym posiadaczem religii”.

Pisząc te ostre słowa, Stomma zastrzega jednocześnie, że daleki jest od stanowiska jakiegoś przesadnie maksymalistycznego inkwizytora, który „nihilistycznie potępia wszelkie przejawy zharmonizowania religii z rzeczywistością człowieka współczesnego, takiego jakim jest naprawdę, ze swoją słabością, ograniczonością i ułomnością”. Autor przypomina, że „zasługą Kościoła jest jego realizm, znajomość natury ludzkiej i jej staranne respektowanie... Prawdą życia jest przeplatanie się doskonałości z nędzą i wielkością ze słabością. I Kościół w mądrości swojej słusznie ją toleruje. Bo nie przeciętność jest zła. Ale złem jest poprzestanie na przeciętności. Zadolenie z niej i brak dążności do jej przewyżnienia. Brak buntu przeciwko przeciętności”.

Tu właśnie Stomma dochodzi do zasadniczego punktu swoich rozważań: „To, co „burżuizmo” najbardziej od postawy katolickiej odróżnia, to zupełny brak przejawów buntu i rozterki. Natomiast — nie waham się powiedzieć — postawa katolicka jest postawą buntu. W założeniu swoim zawiera katolicyzm załączek konfliktu ze światem i buntu przeciwko ograniczoności i niedoskonałości stworzenia. Na tym właśnie polega pewien tragiczny rys katolicyzmu. I jeżeli stwierdzenie tego nie wydaje się czymś oczywistym, a raczej ma nawet posmak wypowiedzianego paradoksu, dowodzi to tylko, jak bardzo silne są jeszcze sugestie myślowe pod ciśnieniem atmosfery burżuizmu ukształtowane”.

Na tle tej atmosfery burżujskiej ukształtował się „ideał statycznej bogobojności, czyli burżujskiej bogobojności pozornej”. Ten falsyfikat

burżujski, używający etykiety katolickiej, przynosi wielką szkodę rozwojowi kultury katolickiej. Cechą charakterystyczną bogobojności statycznej jest naiwny i płytki optymizm, oparty nie na przemyśleniu życia do końca, ale na fałszowaniu życia, na zrezygowaniu z twórczych konfliktów i walki. Kultura burżujska nie rozumie zupełnie postulatów przewyższania się, postulatów ascezy.

„Na tym właśnie polega tragiczny rys katolicyzmu, że nie pozwala wszystkiemu mieć dla siebie, że nie można być ani posiadaczem doskonałości, ani posiadaczem szczęścia. Że trzeba bezustannie wybierać i wyrzekać się. Dla osiągnięcia jednych wartości trzeba poświęcać inne. Bo dynamika życia chrześcijańskiego na uznaje trwania — zna tylko stawanie się. Jest wspinaniem się po szczeblach drabiny, gdzie chwytając za szczebel wyższy zaraz opuścić trzeba szczebel, na którym się dotąd stało. — Tymczasem najistotniejszym założeniem burżuizmu jest statyka i posiadanie. Podobnie i „katolicki” wariant tej postawy”.

Postawa burżujska zatraciła całkowicie zrozumienie roli ascezy, która jest tak integralnie związana z etyką chrześcijańską. Dlatego Stomma, przystępując do nakreślenia prawdziwej postawy katolickiej, analizuje przede wszystkim stosunek ascezy do zadowolenia i szczęścia w życiu chrześcijańskim.

Autor wyraźnie odgradza się od ponurego purytanizmu. Nie chodzi bynajmniej o odzieranie życia z jego uroków. „Chodzi o inną (niż w koncepcji burżujskiej) treść zadowolenia i szczęścia”. „W istocie zadowolenia — pisze dalej Stomma — leży tendencja do dosytu... Ale trwałość dosytu jest zaprzeczeniem rozwoju. Stąd sprzeczność wewnętrzną dwóch ludzkich tendencji: tendencji do szczęścia i do doskonalenia”.

Postawa burżujska usiłowała usunąć ten konflikt, przez rezygnację z doskonalenia. Tymczasem „założeniem kultury naprawdę chrześcijańskiej jest nieeliminowanie i nieustuszanie tego konfliktu. Konflikt ten musi być zawsze aktualny. Życie twórcze polega na ciągłym ścieraniu się jest ciągłym dokonywaniem wyboru. Stała aktualność konfliktu i ciągła potrzeba wybierania rodzi nakaz życia czynnego, życia w gotowości, w postawie na baczność. Tendencją „burżujską” jest inercja i dlatego ideał burżujski eliminuje konflikty. Życie chrześcijańskie jest życiem w gotowości i chrześcijanina nie straszy perspektywa ciągłego zmagania się ze sobą”.

A więc zadaniem kultury katolickiej jest nie usunięcie konfliktu ascezy — szczęście, ale stworzenie dynamicznej syntezy tych dwóch współistniejących tendencji. „Konflikt musi trwać i w życiu naszym bezustannie ma się rozstrzygać. Ze starcia tego urasta harmonia życia indywidualnego i harmonia kultury”. Natomiast „zrodzone z ducha burżujskiego próby wyeliminowania konfliktu i wytycznia stałej linii granicznej zakończyły się fatalną dekadencją kultury”.

Na tym kończy Stomma swój artykuł. Wiele jego tez stanowi głębsze i szersze sformułowanie zagadnień, nad którymi autor pracuje od dawna (por. np. jego artykuł: „Poprawić reputację jednej dobrej sprawy”, „Tyg. Powsz.” nr 225). Spodziewamy się więc, że rozprawa w

„Znaku” jest zapowiedzią jakiejś większej pracy o problematyce współczesnej kultury katolickiej, a przede wszystkim — o zagadnieniu postawy katolickiej.

Pod znakiem tego zagadnienia ułożona jest treść 20-tego numeru „Znaku”. Drugą jego pozycję stanowi świetna rozprawa ks. Wincentego Granata: „Istota modlitwy”. Autor rzuca swój temat na niezwykle szerokie tło filozoficzne i ogólnokulturalne. Na takim tle modlitwa ukazuje nam się jako ognisko życia religijnego, postawy katolickiej i całej katolickiej kultury. Autor zwalcza wszelkie nieporozumienia związane z tym zagadnieniem. Pod tym względem ważny jest szczególnie rozdział podkreślający racjonalny charakter modlitwy. Definicja modlitwy sformułowana jest przez autora w następujący sposób: „Modlitwa jest to przyjacielskie obcowanie stworzenia rozumnego z Bogiem — Miłością”.

O powieści historycznej

(dokończenie ze str. 5)

na. Tu bowiem realizuje się niesłychanie ważny element tego, co nazwalibyśmy wewnętrzną warstwą archaizacji. Dzięki temu powieść, mimo całej pasji pisarza — aktualizatora, mimo czysto współczesnego naładowania wielostronną problematyką, — trafia na ogół w atmosferę biblijną, nie tylko przez postać Jeremiasza, ale również przez sylwetki innych bohaterów, gdzie pewna jednowymiarowość psychologiczna kojarzy się z niezwykle wysoką, czasem do białości rozżarzoną siłą przeżywania namiętności i idei.

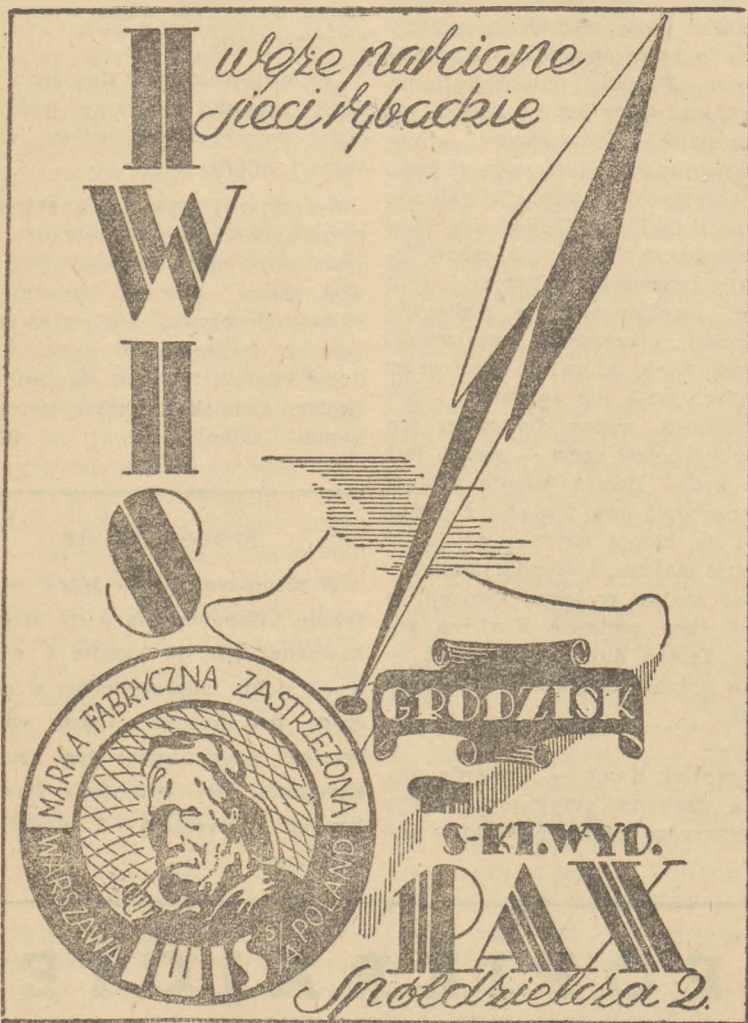
Rzecz jasna, że prostota a banał, to dwie zupełnie różne rzeczy. Można znaleźć w powieści Dobraczyńskiego pewne potknięcia, czasem zamiast biblijnej monumentalności mamy błąd schematyczności (podam jeden przykład: spotkanie Kosama z Tamar nad trupem Azareela). Ale te potknięcia są na szczęście rekompensowane przez inne sceny, które w swojej prostocie i wyrazistości sprawiają naprawdę silne wrażenie. Można takich scen przytoczyć bardzo wiele: np. wspomniane już zmagania Jeremiasza z Głosem, Jeremiasz błagający Boga o życie Barucha, Kosam w gościnie u Rut, chowanie Arki Przymierza pod szczytem Nebo, śmierć Jozjasza, — i tyle innych! Warto zauważyć, że w tych scenach symbolizm jest bardzo mocny, a jednocześnie na ogół bardzo dyskretny (najpoważniejszym wyjątkiem jest, moim zdaniem, rozdział o astrologu Iks-bel'u, gdzie historiozofizm jest miejscami zbyt „topatologiczny”).

Sledząc dobre i mocne sceny powieści, zaczynamy rozumieć, co rozstrzyga o poważnej ewolucji rzemiosła pisarskiego zaznaczającej się w ostatnich powieściach Dobraczyńskiego (myślę o „Wybrańcach gwiazd” i o „Świętym mieczu”). Pisarz wyrzekł się rezerstwa, rozprawiania o bohaterach lub przez usta bohaterów, i zdobył się na wielki wysiłek charakteryzowania postaci i sytuacji przez barwne i plastyczne obrazy. Takie postaci jak Nabuchodonozor („... począł mówić spokojnie i wolno, nie spuszczać ze

Mocnym punktem „Znaku” są również tłumaczenia. Wobec przeobrażeń niżej liczby polskich przekładów ze współczesnej obcej literatury katolickiej, niezwykle cenna jest polityka redakcyjna tego miesięcznika, polegająca na dwutorowej metodzie zaznajamiania czytelników polskich z piśmiennictwem zagranicznym. W dziale „Zdarzenia — książki — ludzie”, zamieszczane są streszczenia i omówienia aktualnie ukazujących się dzieł, a obok tego „Znak” drukuje tłumaczenia najbardziej ważkich fragmentów z równo z literatury aktualnej, jak i z tych dzieł, które należą już do „klasyk”, a u nas ciągle jeszcze nie są znane. Nr 20 przyniósł rozdział z książki O. A. Sertillanges pt. „Notre vie”. W nr 21 znajdujemy rozdział z „L'Humanisme intégral” Maritain'a („Problem Królestwa Bożego”).

Również bogaty zespół treści zawiera ostatni (21) numer „Znaku”. Warto będzie mu poświęcić osobny przegląd prasy w najbliższej przyszłości.

Z. K.



stratega spojrzenia swych błękitnych, czujnych, lecz nie ukazujących żadnych poza tym uczuć oczu...”), Jeremiasz („... szedł dalej pod gwiazdami, dysząc. Krew, którą miał na rękach, nie uspokoiła go...”), Jozjasz („... zdawał się nie słyszeć słów Jeremiasza. Nagle jakimś nieprzypadnym zrywem począł biec ku najwyższemu punktowi wzgórza. Potykał się, upadał, i znowu zrywał się na nogi...”), Elmadam („... jego twarz „była jak płomień migający na wietrze: zmieniała się z niepojętą szybkością...”), Rut („... była to młoda dziewczyna o dziecinnych jeszcze rysach. Spojrzenie jej oczu błękało się po migocącej powierzchni rzeki...”), — takie postaci zapamiętujemy przede wszystkim na tle jakichś obrazów, narzucają nam się one w ruchu, w plastykcznych i sugestywnych sytuacjach.

To właśnie decyduje o sile artystycznej stworzonego przez pisarza obrazu przeszłości.

Zygmunt Kubiak

NA ZAMÓWIENIA
KIEROWANE

DO

ADMINISTRACJI
„DZIS I JUTRO”

SP. WYD. „PAX”

WYSYŁA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CÓRY
KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPLATE
ZŁOTYCH 750 za EGZ.

NA KONTA PKOI-8515
LUB PRZEKAZEM

POCZTOWYM